

KRZYSZTOF
KOZIOŁEK

A POTEM JUŻ TYLKO NIC



Niemożliwe, żeby to mogło stać się naprawdę.
Niemożliwe? Właśnie zaczyna się dziać.

KRZYSZTOF
KOZIOŁEK

A POTE JUŻ TYLKO NIC

 MANUFAKTURA
TEKSTÓW

[Kup książkę](#)

Redakcja
Alina Polak-Woźniak

Korekta
Ewa Popiłka

Projekt okładki
Kamil Pietruczynik
kamilpietruczynik.pl

Skład i łamanie
Krzysztof Kokosiński

Copyright © by Krzysztof Koziółek 2022
Copyright © by Manufaktura Tekstów 2022
manufakturatekstow.pl

Oficjalna strona internetowa autora
krzysztofkoziolok.pl

Wydanie pierwsze
Zielona Góra 2022
ISBN 978-83-964872-5-4 (pdf)

[Kup książkę](#)

*Kto nie pamięta historii,
skazany jest na jej ponowne przeżycie.*
George Santayana

Drogie Bloggerki!
Drodzy Blogerzy!
Drogie Czytelniczki!
Drodzy Czytelnicy!

Stworzenie powieści z kluczem wymaga od jej autora wiele poświęcenia i ciężkiej pracy. Wszystko po to, aby ci, którzy będą ją czytać, dobrze się bawili podczas lektury.

Dlatego gorąco prosimy: uszanujcie to, i w swoich recenzjach, postach i komentarzach nie zamieszczajcie informacji, które innym potencjalnym Czytelnikom mogłyby zdradzić wątki istotne dla fabuły.

Prolog

Poniedziałek 29 września 2031

Pić.

Pić.

Pić.

Teraz była to jedyna myśl towarzysząca Janowi Krzykowi. Już drugą godzinę razem z rodziną stał w kolejce wiodącej do dawnego stadionu żużlowego. Gdy dotarli w jego pobliże, sznur ludzi ciągnął się aż do stacji benzynowej Państwowego Monopolu Paliwowego – POMPY, jak mawiali obywatele pierwszej i drugiej kategorii, którym dane było cieszyć się z posiadania własnego samochodu.

Rodzinie Krzyków takie prawo nie przysługiwało. Nie wolno im nawet było korzystać z komunikacji miejskiej. Przemieszczać się mogli jedynie wydzielonymi częściami chodników, dlatego cztery kilometry dzielące osiedle Słoneczne od celu musieli pokonać na piechotę.

Kiedy Jan razem z Adą i Nikołą – na którą czasami wołał: Malina – zajęli miejsce w ogonku, zmęczenie dawało im się mocno we znaki, a przed nimi było jeszcze długie oczekiwanie. Szczególnie córka, nieprzywykła do wysiłku fizycznego, wyglądała tak, jakby miała zaraz zemdleć. Dopiero dwa łyki z butelki – jedyny zapas, jaki udało im się wygospodarować na całe popołudnie, gdyż Ada nie przyniosła tego dnia ze szpitala nic eks-

tra – pomógł na tyle, że dała radę stać w oczekiwaniu na ich kolej.

Nikola odzyskała siły, za to w Krzyka pragnienie uderzyło ze zdwojoną mocą. Jak na złość, całą drogę musieli iść w palącym słońcu, co pogarszało ich i tak kiepską sytuację.

Może trzeba było nie przychodzić przed czasem? – pomyślał. Zerknął za siebie i od razu wiedział, że takie rozwiązanie byłoby jeszcze gorsze. Sznur ludzi ciągnął się aż za dawne centrum handlowe Polska Wełna, a Krzyk mógł się założyć, że to wcale nie jest koniec.

Pić!

Spróbował oblizać językiem spierzchnięte wargi, ale efekt był taki, jakby potarł po nich papierem ściernym.

Chcąc odwrócić uwagę od coraz bardziej dojmującego pragnienia, zaczął szacować liczbę oczekujących, licząc kolejne grupki oddzielone od siebie przepisową odległością dwóch i pół metra. Większość rodzin składała się z trzech osób, ale w bliskim sąsiedztwie zauważył też sporo samotnych par. Część z nich mogła posiadać dzieci młodsze niż siedmioletnie – a te były zwolnione z obecności na egzekucji – reszta należała pewnie do tego grona szczęśliwców, którzy dziennymi przydziałami rodzinnymi mogli dysponować jedynie we dwójkę.

Z tą myślą Krzyk najpierw spojrzał na pustą butelkę trzymaną w dłoni, potem na Nikolę. Zrugął się w głowie za niepoprawne myśli. Przecież to nie jej wina, że pojawiła się na świecie. Kto mógł wtedy przypuszczać, że kilka lat później stanie on najpierw na progu jednej

katastrofy, potem drugiej i jeszcze zaraz później trzeciej?!

Córka jakby wyczuła, że o niej myśli, bo odwróciła się i spojrzała na niego.

– Zostało coś jeszcze do picia? – spytała cicho.

– Po co pytasz, skoro wszystko wyłopałaś? – warknęła Ada.

Krzyk zmusił się do uśmiechu.

– Nic już nie ma, przykro mi.

– Jej na pewno nie jest przykro – wycedziła Ada.

– Nawet się nie spytała, czy któreś z nas chciałoby bodaj zwilżyć usta.

– Jestem dzieckiem, musicie o mnie dbać – wypaliła Nikola.

– Teraz jesteś dzieckiem? – Krzyk zaczynał powoli tracić cierpliwość. – A kto ostatnio wrzeszczał na cały blok, że jest już dorosły i nie musi słuchać rodziców?

Córka skrzywiła się, potem odwróciła do niego i Ady plecami, nic przy tym nie mówiąc.

Krzyk odetchnął głęboko, ciesząc się w duchu, że kolejny wybuch złości został – przynajmniej na razie – zażegnany w zarodku. O ile Nikola urodę odziedziczyła po matce – na swoje szczęście i dumę ojca – o tyle charakterek miała ewidentnie po nim. Niestety, od pewnego czasu rodziło to coraz większe problemy, ponieważ zaczęli się nią interesować chłopcy, zresztą z wzajemnością.

Rozmyślania mężczyzny przerwał ruch w kolejce. Ta wreszcie ruszyła z miejsca, zaraz potem ogonek posuwał się już z dużą prędkością. Kolejne rodziny sprawnie pokonywały bramki wejściowe, przykładając białe

lub mahoniowe opaski do czytników. Krzyk co chwilę kontrolnie zerkał na swoją, sprawdzając czy zielona lampka nie zmienia koloru na ostrzegawczą czerwień. W przypadku przekroczenia dozwolonego dystansu powinna zasygnalizować to delikatnym porażeniem prądem, ale to była tylko teoria. Mężczyzna już kilka razy miał okazję się przekonać, że urządzenia były zawodne, szczególnie te przeznaczone dla czwartaków. To było podwójnie bolesne, gdyż dla tej kategorii kary były dużo bardziej surowe niż dla trzeciaków. Przy ostatnim takim przypadku przydział zmniejszono ich rodzinie tak bardzo, że gdyby nie pomoc kolegów z pracy, mogliby nie przeżyć. Na własnej skórze przekonał się więc, że maszynom nie wolno ufać.

Dopiero gdy dotarli pod bramę stadionu, mógł na chwilę odetchnąć. Ze względu na ograniczoną liczbę miejsc w obiekcie działanie Systemu Ciągłej Obserwacji – w skrócie: SYCO – było w tym miejscu zawieszone.

– Nogi mnie bolą... – jęknęła Nikola.

– Nie marudź! – syknęła Ada w odpowiedzi.

Na twarzy dziewczyny pojawił się charakterystyczny grymas.

– Ale to prawda!

Krzyk delikatnie dotknął córkę zaciśniętą pięścią w ramię.

– Jeszcze chwilę i wejdziemy.

Nikola cała aż się zatrzęsła.

– Weź przestań!

Taki wybuch złości zdziwił mężczyznę, ale już po krótkiej chwili zrozumiał, w czym rzecz. Córką wpatrywała się w przystojnego chłopaka stojącego przed nimi w ko-

lejsze, nie mając pojęcia, co robić. On zresztą wyglądał na równie przestraszonego.

Ale skąd mieli oboje wiedzieć, jak należy się w takiej sytuacji zachować? Trzeciaki i czwartaki chodziły do szkoły stacjonarnej zaledwie jeden dzień w miesiącu, nie licząc najlepszych uczniów, którym zwiększano limit do czterech. A nawet te zajęcia były prowadzone w trzyosobowych grupach jednopłciowych. Reszta procesu edukacji odbywała się w trybie zdalnym, a kontakt z kolegami i koleżankami z klasy możliwy był praktycznie jedynie poprzez sieć, gdyż na kontakty osobiste należało wcześniej uzyskać zezwolenie.

Twarz chłopaka wykrzywiła się w dziwną minę, zaraz potem Nikola parsknęła śmiechem. W tym czasie jego ojciec podniesionym głosem zaczął tłumaczyć coś funkcjonariuszowi Służby Bezpieczeństwa Państwa z wyglądu młodszemu o kilka lat od jego syna.

– Wcielają coraz większych smarkaczy... – szepnęła Krzyk sam do siebie. – Pomagamy i monitorujemy – bezwiednie wyrecytował hasło widniejące na pojazdach znienawidzonej przez społeczeństwo formacji. – Szkodzimy i mordujemy... – Z pamięci przywołał te stworzone przez nieistniejącą już opozycję.

– Proszę! – Mężczyzna przed nimi krzyknął błagalnie.

– Syn zostaje zatrzymany. – Młody esbek kiwnął głową na stojącego kilka metrów dalej kolegę z twarzą pokrytą gęstym trądzikiem. Ten od razu ruszył z pomocą, a w jego oczach mieniły się jakieś dziwne błyski.

– Dlaczego? – Ojciec chłopaka był coraz bardziej zdeenerwowany.

Funkcjonariusz był nieugięty.

– Takie są procedury. Opaska jest naruszona. Manipulowano przy niej.

– To na pewno jakaś pomyłka! – Mężczyzna miał łzy w oczach. – Dopiero tydzień temu założono mu nową!

Esbek stanął w rozkroku.

– Odsunąć się albo użyjemy środków przymusu bezpośredniego!

Nagle mężczyzna spojrzał na chłopaka.

– Znowu przy niej grzebałeś? To przez tę dziewczynę? – Zachowywał się teraz tak, jakby był tu tylko z synem.

Chłopak coś pokrętnie tłumaczył. Jego ojciec odwrócił się do funkcjonariuszy, uśmiechnął się przyjaźnie.

– Panowie oficerowie, to tylko dziecko...

– Odsunąć się! – Warknął młody esbek. – Chłopak jest zatrzymany!

– Błagam! – Mężczyzna uklęknął. – Moja małżonka nie żyje... Nikogo innego nie mam... Nie zabierajcie mi go...

– Odsunąć się! – Esbek z brzydką twarzą przyłożył prawą dłoń do boku. – Natychmiast!

W tym momencie mężczyzna popełnił błąd, wyciągając rękę, jakby chciał syna odgrodzić od funkcjonariusza.

Kiedy ten wyprowadził cios pałką, nie zdążył się nawet zasłonić.

Krzyk usłyszał głucho stuknięcie, jakby ktoś grubym kijem pacnął w dynię. Zanim mężczyzna padł nieprzytomny na ziemię, młody esbek zdążył jeszcze poprawić po koledze.

Widząc to, chłopak rzucił się w stronę ojca. Funkcjonariusz z policzkami pooranymi przez trądzik tylko na to czekał. Wyprowadził cios, ale tym razem źle oszacował odległość, bo pałka przecięła jedynie powietrze, a on sam – straciwszy równowagę – upadł. Zaraz potem poderwał się z wściekłością na nogi, całą złość wyładowując na chłopaku. Ten próbował uchylać się od razów, ale z dwoma przeciwnikami nie miał szans. Po kilku ciosach upadł niedaleko ojca. Nawet wtedy esbek z trądzikiem nie przestawał bić. Pauzę zrobił dopiero, kiedy ciałem nastolatka zaczęły trząść konwulsje, a z jego ust poczęła toczyć się piana.

Krzyk patrzył na to oszołomiony. Kiedy tylko pierwszy raz pałka poszła w ruch, zrozumiał, że on i jego rodzina mogą być następni. Chciał zrobić coś, aby uniknąć takiego scenariusza, ale był jak sparaliżowany. Próbował szepnąć coś do żony i córki, ale usta odmówiły mu posłuszeństwa.

Dopiero po chwili udało mu się odzyskać głos.

– Nie patrzcie tam... – mówił cicho. – Nawet nie próbuj... – rzucił do Adriany, widząc, że ta robi krok w kierunku leżących na ziemi mężczyzn.

– Chłopak potrzebuje pomocy... – zaprotestowała.

– Zanim zdążysz im wyjaśnić, że jesteś pielęgniarką, mogą cię zabić – wyszeptał żonie do ucha.

– Nic mi nie... – Ada już miała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. W tej sytuacji faktycznie nie pomogłyby jej żadne znajomości.

– Szkoda go. – Nikola wbiła spojrzenie w ciało chłopaka. – Taki był ładny...

– Taki był ładny? – Kobieta odwróciła się do córki. – Tylko to masz do powiedzenia? Chłopiec być może tra-

fi do szpitala w ciężkim stanie, nie wiadomo, czy z tego wyjdzie, a tobie szkoda jego ładnej buzi?

Wcale nie wiadomo, czy zabiorą go tam, czy może od razu zniknie – pomyślał Krzyk.

– Wiesz, co? – Nikola miała gniew w oczach. – Chcesz, to idź go ratować! Jak wylądujesz obok, to straty nie będzie.

– Ciszey! – Krzyk nerwowo taksował otoczenie wzrokiem, szukając potencjalnego zagrożenia. – I nie mów tak do matki.

– Ona jest moją matką tylko z nazwy. – Dziewczyna w jednej chwili straciła zainteresowanie chłopakiem. – Nasza kolej.

– Następny! – Stojąca przy bramie funkcjonariuszka SBP jakby to słyszała. – Szybciej!

– Dziewczyny, tylko bez żadnych gwałtownych ruchów – strofował Krzyk. Bał się nie o siebie, ale przede wszystkim o Nikolę. Chłopak, który przestał się już nawet ruszać, nie był jednym nastolatkiem próbującym przechytrzyć SYCO, za to, gdyby mu się udało, byłby pewnie pierwszym. Krzyk nie mógł mieć żadnej gwarancji, że opaska córki była w stanie fabrycznym. Co gorsza, wcale nie trzeba było manipulować przy urządzeniu, żeby narazić się na reakcję esbeków. Zdążyli już udowodnić, że najpierw biją, a dopiero potem ewentualnie zadają pytania i sprawdzają, czy alarm jest wynikiem zabronionej ingerencji, czy też awarii stadionowych czytników używanych tylko kilka razy w roku.

*

Na szczęście bramkę pokonali bez problemów i mogli ruszyć na przydzielone rano miejsca. Dramat, jaki

rozegrał się przed wejściem, sprawił, że Krzyk zapomniał o wszystkim. Teraz pragnienie przypomniało o sobie, wracając do niego ze zdwojoną siłą. Wznoszenie modłów było bezcelowe, nie padało przecież od miesięcy, nie licząc tego jednego razu. Nic też nie wskazywało na to, aby taki stan rzeczy miał się zmienić. Na błękitnym niebie próżno było szukać choćby jednej chmury.

Tyle dobrze, że słońce właśnie zaczęło chować się za drzewami, dzięki czemu przynajmniej znaleźli się w cieniu. Inaczej kolejnych dwóch godzin oczekiwania na zapełnienie się stadionu Krzyk mógłby nie przeżyć.

Wtem z głośników rozległ się tubalny, mocny głos:

– Witam wszystkich obywateli trzeciej i czwartej kategorii!

Wypowiadającego te słowa nie było jeszcze widać, ale i tak zgromadzeni wiedzieli, kim jest. Pierwszy Przewodniczący Samodzielnej Komórki Terytorialnej Partii – w skrócie nazywany Pierwszym – był doskonale znany wszystkim mieszkańcom Enklawy Zielona Góra, począwszy od przedszkolaków.

– Witajcie!

Krzyk rozglądał się uważnie dookoła. Nie szukał jednak wzrokiem Pierwszego, którego postać pojawiła się na wielkim ekranie zamontowanym nad wjazdem do parku maszyn, interesowali go ludzie zgromadzeni na stadionie, a konkretnie ich liczba. Bez dostępu do SYCO dokładne policzenie było niewykonalne, ale mężczyzna mógł przynajmniej pokusić się o orientacyjne szacunki. Kiedyś, gdy działał jeszcze miejscowy

klub żużlowy Falubaz, trybuny mieściły mniej więcej dwanaście tysięcy widzów. Teraz w połowie zionęły pustką.

I pomyśleć, że przed wojną Zielona Góra liczyła sobie prawie sto czterdzieści tysięcy mieszkańców – Krzyk westchnął. Egzekucja zgromadziła jakieś sześć tysięcy, tylu było w Enklawie Wewnętrznej trzeciaków i czwartaków. Ludzi z wyższym statusem – mieszkających w Enklawie Zewnętrznej – była połowa tego, a gdyby tylko zapadła decyzja, też zmieściliby się na stadionie. Jednak ich obowiązek uczestniczenia w dzisiejszym spektaklu nie dotyczył, cieszyli się licznymi przywilejami, o których niżej usytuowani w hierarchii mogli jedynie pomarzyć.

Refleksję przerwał Pierwszy.

– Niektórzy z obecnych tutaj być może zadają sobie pytanie, czy kara, jaką za chwilę wymierzymy, musi być aż tak surowa?

Krzyk spojrział na Adę, ale z jej zachowania trudno było wyczytać, co myśli.

– Zadajecie sobie pytanie: czy to dziecko musi umrzeć? – Postać Pierwszego była prezentowana na ekranie w taki sposób, że każdy ze zgromadzonych miał wrażenie, jakby patrzył mu prosto w oczy.

Krzyk zerknął na Nikołę, ta wyglądała na nieobecną. Brakowało tylko, aby włączyła wirtualfona.

– Obywatele trzeciej i czwartej kategorii! – Nagle Pierwszy pojawił się na scenie zajmującej środek murawy – Zadajcie sobie to pytanie! Zadajmy je sobie wszyscy!

Zadajmy sobie pytanie, kiedy będziemy mogli się czegoś napić!!! – wrzasnął Krzyk w myślach.

– Zadajmy je i od razu sobie na nie odpowiedzmy!
– Pierwszy kroczył wolno po deskach, niczym aktor odgrywający wyuczoną wcześniej rolę.

Krzyk był chyba jednym z niewielu na stadionie, którzy nie spoglądali na mówcę. Zamiast tego dyskretnie przyglądał się ludziom wokół. Próbował sięgnąć pamięcią, aby przypomnieć sobie, kiedy ostatnio był tak blisko innych, ale nie potrafił. Z pewnością nic takiego się nie zdarzyło w tym roku. Wyjątkiem był zakład pracy, ale tam przecież miał do czynienia tylko z kilkoma kolegami, zresztą, niemal przez całą zmianę byli zwykle pod dyskretnym nadzorem kierownika.

– Czy to dziecko musi umrzeć? – Albo ktoś zajmujący się sprzętem podkręcił głośność, albo Pierwszy zbliżył mikrofon do ust, jego słowa brzmiały bowiem teraz o wiele mocniej.

Do Krzyka dotarło, że zbliża się moment kulminacyjny egzekucji. Zaczął kręcić się jeszcze bardziej, chciał zobaczyć jak najwięcej twarzy, uśmiechów, grymasów, właściwie chłonał każdy detal wyglądu tych, którzy stali najbliżej niego, zanim tłumem wstrząśnie dzika ekstaza.

Dwa rzędy niżej dostrzegł mężczyznę niskiego wzrostu, z opasłym brzuchem i przetłuszczoną resztką włosów, który co rusz nerwowo tarł palcami o brodę.

Na ten widok Krzyk bezwiednie przejechał dłonią po swojej łysej głowie, czując w środku ukłucie zaskrobać. Kępki włosów Grubasa wyglądały może karykaturalnie, ale i tak byłby gotów się z nim zamienić, byle tylko znów móc poczuć pod palcami przyjemny dotyk.

Ciekawe, czy Ada i Nikola zwróciły na niego uwagę? – pomyślał, patrząc na lśniące głowy żony i córki. A może jeszcze ktoś zachował resztę włosów? – Znow zaczął się rozglądać.

Nagle napotkał ukradkowe spojrzenie niewysokiej kobiety ze sporą nadwagą. Sposób, w jaki na niego patrzyła, sprawił, że aż go zmroziło.

Czyżby była donosicielką typującą podejrzane osoby na potrzeby SBP? A może znajdowała się stopień wyżej w hierarchii, piastując funkcję prowokatorki i szykując pułapki na Bogu ducha winnych czwartaków?

Wtem kobieta się odwróciła, jakby czytała w myślach Krzyka. Chwilę później raz jeszcze spojrzała na niego dyskretnie. Tym razem widział już wyraźnie, że w jej oczach czał się strach.

Boi się, że to ja jest kapusiem? – pomyślał mężczyzna. Od razu uśmiechnął się delikatnie, w ten sposób chciał nieznajomej dać znać, że nie musi się go obawiać.

Ale ta momentalnie uciekła wzrokiem.

W pierwszym momencie jej reakcja wywołała w nim żal, zaraz potem zrozumiał jednak w czym rzecz. Od czasu zakończenia wojny normą było donoszenie na innych: sąsiadów, kolegów z pracy, przełożonych, a nawet członków najbliższej rodziny. Dzieci kapowały na rodziców, mężowie na żony, a te na mężów. Denuncjatorzy mogli liczyć na dodatkowe przydziały, a najbardziej aktywni i skuteczni nawet na awans do wyższej kategorii, co w przypadku trzeciaków dawało komfort życia, o jakim inni mogli tylko pomarzyć. Tych ostatnich sytuacji nie zdarzało się wiele, były za to nagłaśniane przez rządową propagandę i stawiane za przykład.

Z każdym takim razem liczba donosów rosła lawinowo, a z mieszkań, zakładów pracy i chodników znikwały dzieciętki osób. Większość bezpowrotnie.

Nic dziwnego, że ludzie patrzyli na siebie wilkiem, nawet małżonkowie bali się szczerze ze sobą rozmawiać.

Krzyk obdarzył Adę baczny spojrzeniem. Czy ona też odczuwała czasami pokusę, aby go pogrążyć? Wcale by go to nie zdziwiło, ostatnio coraz częściej przyłapywał się na tęsknocie za pierwszymi latami ich małżeństwa i obawie, że bezpowrotnie odeszły w dal. Po zachowaniu Ady wnioskował, że mogła mieć takie same myśli.

– Jeszcze raz: czy to dziecko musi umrzeć? – Pierwszy odezwał się po długiej chwili ciszy. Od razu też sam sobie odpowiedział. – Tak, musi!

Słyszac te słowa, Ada odwróciła się na chwilę, aby spojrzeć na męża. Kiedy zaskoczona napotkała jego wzrok, poczuła nieprzyjemny ucisk w podbrzuszu.

– Tak, musi! – Pierwszy powtórzył jeszcze głośniejsze.

Kobieta czuła na policzku palący wzrok Janka. Wzięła głęboki oddech, ze wszystkich sił starając się zachowywać jak najbardziej naturalnie. W umyśle coraz mocniej tliła się jednak obawa, od której ugiwały się jej kolana.

Podejrzewał coś?!

Gdy tylko myśl dojrzała, od razu zaczęła uspokajać samą siebie.

Niemożliwe. Janek nie mógł o niczym wiedzieć!

– Musi! – Pierwszy wrzasnął tak, że echo odbiło się od trybun, ze zwiększoną siłą uderzając w zgromadzonych. – To dziecko nie okradło mnie! – Grzmiał. – Ono nie okradło naszego miasta! Ono nie okradło naszej ojczyzny! Ono okradło wszystkich z was!!! – Jego wielki

palec widoczny na ekranie wbił się w każdego ze zgromadzonych.

Pić!

Krzyk próbował poruszyć językiem, ale ten był sztywny jak kołek. Że też Nikola musiała wszystko wyłopać! Spojrzał na córkę, ta lewą dłoń próbowała ukryć otwartego wirtualfona. Już miał wyrazić swoje oburzenie, kiedy dostrzegł, że podobnie zachowywało się kilkoro innych nastolatków w najbliższym otoczeniu. Otaksował wzrokiem dalsze rzędy, sytuacja była identyczna.

Ta dzisiejsza młodzież... – westchnął. Na wszystko ma wyjebane. Nic się nie liczy: rodzice, szkoła, praca, ważna jest tylko sieć.

– Obywatele! – Palec Pierwszego zniknął z ekranu, znów pojawiła się na nim jego dobrotliwa twarz. – A może nie powinienem podejmować decyzji samodzielnie?

Krzyk wiedział, do czego szef Partii zmierza i musiał przyznać, że odgrywał swoją rolę pierwszorzędnie. Nie zmieniało to jednak faktu, że słuchał go z obrzydzeniem.

– Obywatele! Może należałoby pozostawić ją wam?

Sześć tysięcy zielonogórczan milczało.

– Zatem podejmijmy tę decyzję wspólnie! – Pierwszy nie zwlekał. – Kto z was powie nam, co należy zrobić ze złodziejem, który okradł nas wszystkich z najcenniejszej rzeczy, jaką mamy?

Odpowiedziała mu cisza.

– Kto powie, co mamy z nim zrobić? – Pierwszy przyłożył dłoń do czoła, udając, że wypatruje ochotnika.

– Zabić. – Delikatny głos dobiegł gdzieś z okolicy wieżyczki sędziowskiej.

Krzyk zdawał sobie sprawę, że nie sposób tego udowodnić, ale był przekonany, że autorem tych słów nie był nikt ze zgromadzonych na trybunach, chociaż rozstawione gęsto mikrofony potrafiły wychwycić nawet szept. Same mogły też jednak być źródłem dźwięku.

– Zabić!

Tym razem mężczyzna był już pewien, że ktoś naprawdę krzyknął.

– Zabić!

Nie minęło kilka sekund, gdy pierwszym głosom zawtórowały kolejne.

– Zabić!

– Zabić!

– Zabić!

– Tak! – Pierwszy triumfował. – Zabić!

– Zabić! Zabić! Zabić!!! – Teraz tłum był już z nienawiści.

Mężczyzna na ekranie pokraśniał z zadowolenia. Odczekał dłuższą chwilę, wiedział, że to z bezwzględnej ludzkiej masy wyzwoli wszelkie pokłady nienawiści. Potem mówił dalej.

– Taki krok może niektórym wydawać się nieludzkim, ale jest konieczny, abyśmy mogli dbać o naszą ojczyznę, naszą enklawę i o nas samych. – Zrobił krótką przerwę dla zwiększenia efektu. – Pamiętajcie też, że musimy tak zrobić dlatego, że... – kolejna pauza była już dużo krótsza – takie... są...

Tłum dokończył za niego.

– Procedury!!!

– Takie są procedury! – krzyknął Pierwszy raz jeszcze.

Jan miał wrażenie, jakby wrzaski wydostające się z głośników płynęły prosto do jego uszu, wwiercając się w mózg, niczym świder w miękką ziemię.

– Wprowadzić skazańca! – ryknął Pierwszy bez ostrzeżenia.

Niemal od razu na ekranie pojawiła się postać chłopaka – mógł mieć dziesięć, może jedenaście lat – słaniającego się na nogach. Był wleczony przez dwóch roślących esbeków trzymających go pod ręce, dodatkowo skrępowane za plecami. Zanim dotarli na scenę, minęła minuta, może dwie. W tym czasie ludzie milczeli, tylko co chwilę przez tłum przechodził cichy pomruk.

Kiedy zakładali mu pętlę na szyję, z głośnika rozległ się beznamiętny głos lektora, który wszyscy doskonale kojarzyli z Dziennika Wieczornego.

– Przypomina się o zasadach obowiązujących na dzisiejszej egzekucji...

Charakterystyczny bas spikera miał przyjemne brzmienie. Gdyby Krzyk nie wiedział, czego dotyczy komunikat, mógłby się nawet odprężyć.

– Każdy, kto w momencie kulminacyjnym odwróci głowę lub zmieni pozycję ciała na taką, która uniemożliwi rejestrowanie obrazu, zostanie tymczasowo pozbawiony dziennego przydziału rodzinnego...

Krzyk położył dłoń na ramieniu Nikoli. Ta spojrzała na niego, zamknęła wirtualfona, potaknęła, dając znać, że zrozumiała.

– Podobne konsekwencje spotkają tych, którzy zasłoną lub zamkną oczy...

Krzyk nabrał głęboko powietrza, po czym wypuścił je z sykiem, patrząc na chłopaka, który wyginał głowę we wszystkich kierunkach, próbując pozbyć się pętli. Nic nie mówił, nie krzyczał, zaklejone taśmą usta nie były w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Musiał wiedzieć, że jego wysiłki są daremne, a i tak nie dawał za wygraną. Walczył do końca.

Mężczyzna miał świadomość, że większości zgromadzonych na trybunach los chłopca kompletnie nie obchodzi i że za chwilę z dziką przyjemnością będą wpastrywać się w jego wiszące ciało, niczym dzicz sycącą się przed stuleciami walkami gladiatorów. Oni będą patrzeć dobrowolnie, cała reszta – tak jak on – z musu. Żadne sztuczki nie wchodziły w grę, na straży stały bowiem setki kamer i czujników SYCO rozpoznających nie tylko twarze, ale też rejestrujących reakcje poszczególnych ludzi, ich nastrój, temperaturę ciała i dziesiątki innych danych.

– Uwaga! – Pierwszy stanął w rozkroku dwa metry przed nastolatkiem. Dał znak podniesioną ręką.

– Przygotować się do egzekucji. – Głos lektora cały czas brzmiał tak samo spokojnie.

Krzyk ze zgrozą odnotował fakt, że kilka osób w rzędach poniżej otworzyło wirtualfony i włączyło nagrywanie. Rozejrzał się wokół, tych parę przypadków to był wierzchołek góry lodowej!

Jakby byli na meczu żużlowym, a pod taśmą startową ustawiało się właśnie czterech zawodników.

– Dziesięć... – Spiker zaczął odliczanie.

Krzyk spojrzał na szubienicę, dużo wyżej niż głowa skazańca.

– Dziewięć...

Opaska na dłoni mężczyzny zadrżała, rażąc go delikatnie prądem.

– Osiem...

Krzyk ją zignorował.

– Siedem...

Natężenie prądu wzrosło.

– Sześć...

Zacisnął zęby, chcąc wytrwać jak najdłużej.

– Pięć...

Delikatne mrowienie ustąpiło miejsca nieznośnemu pieczeniu.

– Cztery...

Ból potężniał z sekundy na sekundę.

– Trzy...

Wiedział, że za chwilę dotrze do progu wytrzymałości.

– Dwa...

Krzyk nie dał rady walczyć dalej. Cena, jaką musiałby za to zapłacić, była zbyt wysoka. Przeniósł wzrok na twarz chłopca.

– Jeden.

Mikrofony ustawione na scenie wyłapały dźwięk otwierającej się zapadni, a sprzęt obsługujący nagłośnienie na stadionie dodatkowo oczyścił go i wzmocnił. Zaraz potem ciało nastolatka zaczęło podrygiwać, z megafonów dało się słyszeć rżenie.

Krzyk miał łzy w oczach. Modlił się, żeby SYCO nie uznało tego za złamanie procedury. Niemal czuł, jak czujniki rejestrują ruch jego gałek ocznych. Wiedział, że to niemożliwe, że robiły to niedostrzegal-

nie dla ludzkich zmysłów, ale i tak czuł się nieswojo. Miał wrażenie, jakby ktoś zaglądał mu do wnętrza mózgu.

– Koniec. – Lektor cały czas brzmiał tak, jakby czytał dziecku bajkę. – Egzekucja została zakończona.

Krzyk z ulgą odwrócił głowę. Odetchnął głęboko, patrząc na dziesiątki wirtualfonów rejestrujących wciąż ruchy dyndającego ciała. Wstrząsnął nim gniew, ale momentalnie przywołał się do porządku. Nic nie mógł na to poradzić.

– Podaję dane statystyczne. – Lektor odezwał się raz jeszcze. – Udział w egzekucji wzięło sześć tysięcy dwudziestu ośmiu obywateli, to jest sto procent uprawnionych. Prawidłowy udział w egzekucji zaliczono sześciu tysiącom dwudziestu siedmiu obywatelom.

Krzyk poczuł w środku ukłucie zazdrości.

Znalazł się ktoś, kto potrafił się wyłamać!

I to nie był on...

Cwaniak! – pomyślał. Pewnie chował gdzieś w domu zapasy na czarną godzinę i mógł sobie na coś takiego pozwolić. Ciekawe tylko, czy rezerwę zawdzięczał prostytuowaniu się swojej żony lub córki? A może wynajmował na godziny własne ciało, jeżdżąc do posiadłości Pierwszaków?! Gdyby tylko wiedział, który to, podbiegłby do niego i rozszarpał gołymi rękoma!

A jeśli to była kobieta?

Też by ją zabił!

– Należy kierować się do bramek wyjściowych. – Lektor zaczął instruować tłum. – Przypominamy, że poza stadionową strefą buforową obowiązują przepisy dotyczące utrzymania dystansu społecznego.

Krzyk ruszył za Adą i Nikołą wolno kroczącymi w stronę ogrodu. Rzucił okiem na scenę. Ciało chłopca wciąż wisiało na szubienicy.

Wiedział, że nie jest to niefrasobliwość. Wręcz przeciwnie, esbecy specjalnie nie odcinali ciała. Chcieli, żeby zgromadzeni na stadionie ludzie jak najdłużej się w nie wpatrywali.

Żeby scena, jaka rozegrała się przed ich oczami i w ich umysłach, załęgła się tam na zawsze. Aby pamiętali o niej, kiedy tylko przyszlaby im do głowy próba kradzieży choćby jednej małej butelki.

Pić!

Krzyk odwrócił głowę, złorzecząc w myślach martwemu dzieciakowi. Gdyby nie przestępstwo, jakiego się dopuścił, on nie miałby teraz w nogach czterech kilometrów i tyłu samo przed sobą w drodze powrotnej!

Pić...

Żeby odwrócić uwagę od pragnienia, spojrzał na zegarek, starą „Rakietę” wyprodukowaną jeszcze w czasach istnienia Związku Radzieckiego i jedyną pamiątkę po ojcu, która uchowała się podczas wojny.

Szybko obliczył czas, jaki upłynął od wejścia na stadion i wyłączenia systemu nadzorującego utrzymanie dystansu społecznego. Jeżeli Boguś nie mylił się w obliczeniach, wprowadzony podczas egzekucji trojan powinien zrobić to, do czego został zaprojektowany. Już wkrótce się tego dowiedzą.

A jeśli się udało...

Krzyk poczuł, jak jego serce przyspiesza. Uśmiechnął się mimowolnie, wiedząc doskonale, że tym razem nie jest to reakcja na postępujące odwodnienie.

Jeżeli ich szalony i śmiały plan się powiodł, to...
Na tę myśl mężczyzna aż przymknął oczy.
Wreszcie będą mogli zacząć kopać.

Rozdział 1

Sobota 20 września 2031 (dziewięć dni wcześniej)

To był ciężki dzień. Już wczoraj, kiedy Krzyk kładł się spać, męczyło go pragnienie. Rano było jeszcze gorzej, a w odpowiedzi na prośbę do Ady o podzielenie się szpitalnym zapasem, usłyszał, że zostawiła go w lecznicy. Było tak naprawdę czy też kłamała, chowając gdzieś butelkę po kątach, tego nie wiedział. Nie dysponował też czasem na myszkowanie w jej poszukiwaniu.

Kiedy więc rozpoczął jedenastogodzinną zmianę w oczyszczalni ścieków, miał wrażenie, jakby usta wypełnione były trocinami. Kilka łyków, jakie należały mu się w ramach ekwiwalentu za szkodliwe warunki pracy, niewiele poprawiło. Na domiar złego, tego dnia słońca od samego rana paliło niemiłosiernie, potęgując cierpienia tak mocno, że godzinę przed końcem nawet drewniany trzonek podbieraka kojarzył mu się z czułym kształtem butelki wypełnionej pod sam korek.

Marzenia o zaspokojeniu pragnienia przerwał dopiero Brian Kowalski, kolega, z którym wspólnie usuwał resztki osadów.

– Jeszcze tamten syf i koniec na dzisiaj. – Pokazał na zbitą masę przypominającą wyglądem wielką kupę dinozaura.

Nagle uwagę Krzyka przykuł sąsiedni zbiornik. Spojrzał w jego kierunku. Zmrużył oczy raz, drugi, trzeci. Podszedł bliżej, patrząc jak zahipnotyzowany, nie zważając na ostrzegawcze okrzyki Kowalskiego.

Stał nad krawędzią. Nie słyszał już wołania przerażonego kolegi.

Wbił wzrok w rurę zasilającą zbiornik.

Zamiast szlamu, strzelał z niej krystalicznie czysty górski potok. Kowalski, choć stał kilka kroków dalej, już dla niego nie istniał.

W głowie pojawiła się przyjemna myśl.

Poddał się jej natychmiast. Rozpiął flanelową koszulę, rzucił ją z siebie, zaraz potem to samo uczynił z podkoszulkiem, butami i spodniami. Wrzaski kolegi do niego nie docierały.

Zdjął skarpety. Kowalski stał obok i darł się wniebogłosy, ale Krzyk go nie widział. Zrobił pół kroku do przodu, stanął na krawędzi zbiornika.

Podniósł ręce do góry, szykując się do skoku.

Wtedy na ramieniu poczuł silny ucisk.

Obrócił głowę, zobaczył osłupiałą twarz kolegi. Chwilę trwało, zanim umysł dopasował jej wygląd do imienia i nazwiska.

Kowalski był śmiertelnie przerażony.

– Co ty, kurwa, robisz?!

Krzyk słyszał pytanie, ale nie rozumiał jego przesłania.

– Ochujłeś?!

Sens był coraz bliżej, ale jeszcze nienamacalny.

– Odpierdoliło ci?!

Wreszcie pojął. Opuścił głowę, dostrzegł bosc stopy. Przeniósł wzrok na nogi, potem biodra, klatkę piersiową.

Dlaczego, do jasnej cholery, stał tutaj niemal nago?!

– Co ty, kurwa, robisz? – spytał Kowalski cicho.

– Nie wiem, Brian... Nie wiem. – Miał mętlik w głowie. – Chyba chciałem skoczyć... Zmylił mnie tamten górski potok...

– Górski potok? – Kowalski wytrzeszczył oczy. – Jaki, kurwa, górski potok?!

– Ten. – Pokazał na rurę. Kiedy zobaczył wypływający z niej szlam, ugięły się pod nim kolana. Przeniósł wzrok na zawartość zbiornika, wciągnął powietrze przesycone smrodem i poczuł, jak robi mu się niedobrze.

– Chciałeś tam skoczyć? – Kolega nadal nie dowierzał temu, co widzi.

– Na to wygląda... – Mówił cicho, niemal niesłyszalnie. Spojrzał Kowalskiemu prosto w oczy.

Obaj wiedzieli, że gdyby tak się stało, szanse na ratunek byłyby iluzoryczne.

A może tak miało być? Jeden skok, minuta zwierzęcego strachu, parę zaczerpnięć powietrza, od którego szybko straciłby przytomność i poszedłby na dno.

Dyrektor pewnie nawet nie kazałby opróżniać specjalnie zbiornika, aby wydobyć z niego ciało, tylko zarządziłby czekanie na przerwę technologiczną.

Jemu i tak byłoby to kompletnie obojętne.

Miałby święty spokój, nie musiałby każdego poranka – zaraz po obudzeniu – zamartwiać się, jak przetrwać kolejny dzień i jak wykombinować kilka dodatkowych łyków dla siebie i Maliny.

Po jaką cholerę Brian się wtrącał?! – Nagle poczuł ogromną złość.

– Kurwa mać... – Chwycił za spodnie, wsunął jedną stopę w nogawkę.

– Nie ubieraj się. – Kowalski go zastopował.

– Co? – Krzyk był kompletnie zaskoczony. Czyżby Kowalski umiał czytać w myślach? Doszedł do wniosku, że niepotrzebnie przerwał? Chciał naprawić swój błąd? Za późno! – O co ci chodzi?

Kolega pokazał palcem w górę.

Krzyk powiódł za nim spojrzeniem i zrozumiał. Niebo – dokładnie nad nimi – zasnuło się czarną chmurą.

Bał się wypowiedzieć myśl na głos, jakby to mogło sprawić, że się nie ziści.

– Myślisz, że... – spytał dopiero po chwili.

Wyraz twarzy Kowalskiego wskazywał, że jest pewien swego.

– Zaraz zacznie padać – powiedział.

Krzyk nie był do końca przekonany. Chmura nie była wcale duża.

– Z tego?

Kolega potaknął gwałtownie.

– Chodźmy tam, gdzie zawsze.

Krzyk jedną ręką chwycił ubrania, drugą buty. „Tam, gdzie zawsze”. Nigdy nie nazywali rzeczy po imieniu, nie mówili „za kontener”, nie używali żadnego bliższego synonimu. Tylko enigmatyczne: „tam, gdzie zawsze”. Jakby bali się, że ktoś ich podsłucha, zorientuje się, o czym mówią i zabroni przemieszczania się w tamten rejon lub – co gorsza – postanowi przestawić pojemnik w zasięg kamer.

Nie mieli zbyt dużo przestrzeni dla siebie, ot, wystarczyło na wyciągnięcie rąk między metalową ścianą ga-

rażu a zardzewiałą blachą kontenera. Ustawiono go tu tylko na kilka dni – zasłaniając kilka metrów kwadratowych przestrzeni – potem miał być przeniesiony w inne miejsce, ale – jak to często bywa – rozwiązanie prowizoryczne okazało się dużo bardziej trwałe niż pierwotnie zamierzano.

Krzyk był już gotowy, za to Kowalski musiał się jeszcze rozebrać.

Ciekawe, czy nad ich blokiem też pojawiła się jakaś chmurka? Malina przestanie siedzieć z nosem w sieci, wyczuje okazję i się umyje? Będzie pamiętać o brudnych naczyniach? Zrobi pranie?

Oby tylko nie okazało się poniewczasie, że wszystkie balkony w bloku będą pełne kąpiących się dzieciaków i dorosłych mających drugą lub trzecią zmianę, tylko ich będzie świecić pustkami. Gdyby był po pracy, mógłby użyć wirtualfona, ten czas jednak był do wyłącznej dyspozycji pracodawcy. Jedyne, do czego mógł go użyć, bez narażania się na surowe konsekwencje, włącznie ze wstrzymaniem dziennego przydziału rodzinnego albo nawet wyrzucenia na bruk, to wezwanie pomocy.

Czekanie na deszcz się nie kwalifikowało, a ryzykować naprawdę nie było warto. Krzyk pracę w oczyszczalni zaczął zaraz po wojnie. Na samym początku był przekonany, że wypełnia ważną misję – zakład był jednym z kilku w enklawie mających strategiczne znaczenie dla bezpieczeństwa obywateli – ale potem zaczął dostrzegać, jakie wałki w nim kręcono i jak zarabiano, sprzedając na lewo oczyszczone ścieki. Robiono to sprytnie, zawsze w na tyle małej ilości, aby ewentualna kontrola niczego nie wykryła. Najpierw milczał, bo brakowało mu dowo-

dów, potem dlatego, że dotarło do niego, iż proceder nie dzieje się bez przyzwolenia Partii, więc nawet złapanie złodziei za rękę nic by nie dało.

Szefostwo zarabiało gigantyczne pieniądze, podczas gdy szeregowi pracownicy biedowali. Szczególnie trudna była sytuacja czwartaków. Harowali kilkanaście godzin dziennie, ale zarabiali marnie, ich pensje praktycznie nie wystarczały na pokrycie kosztów dziennego przydziału rodzinnego, o jedzeniu nie wspominając. Mało tego, kiedy Krzyk się tutaj zatrudniał, każdemu należał się deputat: jedna półlitrowa butelka dziennie. Potem zaczęto go zmniejszać, aż wreszcie trzy tygodnie temu została już tylko jedna ósma litra.

– Zaraz na pewno zacznie padać... – Kowalski powiedział to w taki sposób, jakby bardziej chciał przekonać samego siebie.

– Jasne... – Krzyk powędrował myślami do córki. Może jednak zaryzykować i wysłać jej wiadomość? Ale jeśli czuwała na posterunku i szykowała się właśnie do kąpieli, to niepotrzebnie by ryzykował!

Nikoła... – westchnął w duchu. Jego ukochana dziewczynka, która zaczęła stawać się kobietą. Jeszcze rok, dwa lata temu, chłopcy prawie w ogóle jej nie interesowali, aż nagle, niespodziewanie dla niego, sytuacja odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. I teraz drżał, myśląc o tym, z kim spotyka się w sieci i jak te randki online wyglądają. Myślał nawet o tym, czy nie spróbować zdobyć dostępu do jej konta, aby mieć oko na nowe znajomości, ale koniec końców stwierdził, że byłaby to oznaka braku zaufania. A Nikola, gdyby się o tym dowiedziała, nigdy by mu nie wybaczyła.

Ostatnio doszły jeszcze jej humory i pyskówki. Szczególnie dla Ady potrafiła być niemiła. Zresztą, jemu też nieraz się oberwało. A on, zamiast się obrazić, dalej spełniał wszystkie jej zachcianki. Jak powiedziała ostatnio żona: świata poza nią nie widział. Nawet nie ukrywała, jak bardzo jest o to zazdrosna.

Nie, wcale nie powiedziała, tylko wykrzyczała podczas jednej z kłótni, których w minionych miesiącach było coraz więcej. Zwykle zaczynało się od drobiazgów, a potem szło już jak kula śnieżna zbierająca wszystko po drodze.

Kilka poprzednich tygodni było pod tym względem naprawdę ciężkich, Ada szukała zaczepki przy każdej możliwej okazji i Krzyk był coraz mocniej przekonany, że złożyłaby pozew o rozwód, gdyby tylko miał on szansę powodzenia. Musiała jednak wiedzieć – tak samo dobrze, jak on – że jego uzyskanie było praktycznie niemożliwe. Wniosek obejmujący obywateli czwartej kategorii podlegał rozpatrzeniu przez Komisję Moralności i Praworządności. Na samo wpisanie sprawy do harmonogramu czekało się od roku do półtora, widoki na uzyskanie aprobaty był zaś znikome, Krzyk nie znał żadnego znajomego, któremu by się to udało.

– Zaraz koniec zmiany... – Kowalski zrobił kwaśną minę.

– A gdzie ten twój deszcz?

– Teraz to mój? – Był urażony. – Zapierdalałeś tam, gdzie zawsze, w takim tempie, że prawie ci gacie z dupy spadły, ale teraz to deszcz jest tylko mój?

Krzyk założył spodnie, nic nie mówiąc.

Kolega poszedł w jego ślady.

– Dobra, daj na luz – rzucił Kowalski.

– Na luz? – Krzyk był wściekły. Nie tyle na partnera, ten nie wystawiałby przecież samego siebie. Bardziej na los, który sprawił, że musiał obejść się smakiem.

Kolega założył podkoszulek, koszulę flanelową chywił w dłoń.

– Trzy miesiące temu się udało...

– Wiem. – Krzyk nie umiał się na niego gniewać.

To był ostatni raz, kiedy padało. Krzyk pamiętał dokładnie, że byli w połowie zmiany, gdy zaczęło lać. Na plac przed budynkiem socjalnym wybiegli wtedy wszyscy pracownicy. Przez godzinę wystawiali ciała i twarze, po których płynął deszcz mieszający się ze łzami szczęścia. Ostatni raz widział taką radość, kiedy skończyła się wojna.

Wracał wtedy do domu na piechotę, z radością wchodząc w każdą napotkaną kałużę i chlapiąc jak przedszkolak. Oczami wyobraźni widział Malinę oraz Adę kąpiące się na balkonie i robiące wielkie pranie. Gdy wrócił do domu, okazało się, że żona faktycznie wyniosła na zewnątrz wszystkie ubrania.

Poza jego rzeczami.

Kiedy wrócił z pracy i zobaczył stertę swoich brudnych skarpetek i slipów leżących w koszu, wpadł w szal. Ada tłumaczyła się roztargnieniem, ale był święcie przekonany, że zrobiła to z premedytacją.

Wtedy pierwszy raz podniósł na nią rękę.

Nie uderzył, powstrzymał się w ostatnim momencie, ale Adzie wystarczył sam fakt, że się zamachnął.

– Najpierw się wycieramy? – spytał Kowalski, gdy dotarli do budynku socjalnego.

– Nie ma innej opcji – potwierdził. – Śmierdę tak, że żona nie wpuści mnie do mieszkania.

Weszli do niewielkiego magazynku. Na ścianach wisiały dziesiątki różnego rodzaju narzędzi, a w narożniku stała stulitrowa beczka. Dzięki cichej zgodzie przełożonych pracownicy fizyczni mogli gromadzić w niej produkt końcowy. Nie tyle był to przejaw dbałości o podwładnych, co bardziej chęć zapobieżenia przynoszenia ze sobą smrodu do budynku administracji, który robole co jakiś czas musieli odwiedzać.

Każdy z nich chwycił szmatkę wiszącą na sznurku, zamoczył ją w beczce, zaczął wycierać całe ciało, pilnując, aby nie pominąć żadnej odkrytej części.

Dopiero po takim wstępie skierowali się do łaźni. Teoretycznie na koniec każdej zmiany przysługiwał im trzyminutowy prysznic, jednak w praktyce czas skrócony był do sześćdziesięciu sekund. To, co tutaj leciało z rury, pachniało zupełnie inaczej niż zawartość beczki, jednak zanim mogli się tym faktem nacieszyć, kąpiel się kończyła.

Krzyk podejrzewał, że generowane w ten sposób nadwyżki są sprzedawane na czarnym rynku, domyślał się też, że inni koledzy żywią podobne domysły, ale doskonale wiedział, że złożenie protestu do władz enklawy nic by nie dało. Jeszcze się nie zdarzyło, aby donos poczyniony przez obywatela niższej kategorii był w stanie wyrządzić krzywdę Pierwszakowi lub Drugiemu. Jedyne, co by uzyskał, to błyskawiczna utrata pracy. Owszem, zarabiał niewiele – jak na rosnące koszty pokrywania dziennego przydziału rodzinnego – ale wpadłby z deszczu pod rynnę.

Deszcz.

Rynna.

Pić!

Z tą myślą wyszedł spod prysznica, chwycił za ręcznik, ale nie zaczął się wycierać – podobnie jak Kowalski – sycąc się każdą sekundą, podczas której czuł na skórze ten przyjemny dotyk setek kropli. Korciło go, aby zlizać kilka z przedramienia, powstrzymał się siłą woli. Odwalali tu w oczyszczalni kawał naprawdę dobrej roboty, ale co innego myć się w tym, a co innego brać do ust.

Pić!

Wszedł do szatni, machinalnie zerknął na tablicę, odnotował podświadomie, że wszyscy obecni w zakładzie mieli dopuszczalną temperaturę ciała, po czym podszedł do swojej szafki. Przyłożył opaskę do zamka, drzwiczki się otworzyły.

Chwycił za butelkę, siłą woli zmusił się, aby nie opróżniać jej całkowicie, poprzestał na kilku łykach, chociaż nie było to łatwe.

Nagle spojrzał na kartkę papieru przyklejoną do wewnętrznej strony drzwiczek kilkoma paskami taśmy izolacyjnej. Znał ten rysunek doskonale, potrafiłby odtworzyć z pamięci każdy detal. A i tak za każdym razem, kiedy na niego patrzył, odczuwał wielkie szczęście, niemal takie samo, jakie stało się jego udziałem, gdy zobaczył go pierwszy raz w życiu.

Większą część kartki zajmował gruby pień drzewa, z którego wyrastały dużo cieńsze konary – już na pierwszy rzut oka było widać, że rysowane dziecięcą rączką – a na nich zawieszane były ogromne ciemnoczerwone maliny.

Maliny.

Nie żółędzie. Nie kasztany. Nie liście.

Tylko maliny.

Krzyk się uśmiechnął, delikatnie dotknął kartki opuszkami palców. Była wygnieciona i wypłowiwała tak mocno, że kolory zaczęły tracić na wyrazistości, ale jemu to nie przeszkadzało.

Trzymałby ją tutaj, nawet gdyby nic już nie można było rozpoznać.

Nagle ciszę przerwał tubalny głos dochodzący zza drzwiczek.

– Trzeba się zbierać do chaty!

Jan nie musiał zamykać szafki, żeby wiedzieć, kim jest jego właściciel. Miłosz Łazik miał prawie dwa metry wzrostu, poruszał się z delikatnością słonia i był równie co on gruboskórny.

Zaraz potem zaskrzeczał radiowęzeł.

– Uwaga, uwaga! Nadajemy ważny komunikat!

Krzyk aż spał się w sobie. Ilekroć szczekaczka się odzywała, tyle razy przekazywała złe wieści. Co tym razem?!

– We wczorajszym ogólnopolskim referendum w sprawie zmniejszenia zwiększenia obniżki dziennego przydziału rodzinnego wzięło udział dziewięćdziesiąt osiem koma dziewięć uprawnionych.

Zachował kamienną twarz, wiedział, że SYCO cały czas go obserwuje.

– Państwowa Komisja Wyborcza zatwierdziła wynik referendum jako wiążący...

Jakby to była jakaś nowość... – pomyślał, ale nawet nie drgnęła mu brew.

– Swoją wolę poparcia wyraziło dziewięćdziesiąt pięć koma trzystaście procent uczestników referendum...

Ktoś się odważył sprzeciwić? – spytał samego siebie.

– Ja nie wyraziłem – powiedział Łazik.

Krzyk spojrział na niego zaskoczony. Sam miał teraz przed oczami siebie i Adę zbliżających palce do wirtualfonów, by wziąć udział w obowiązkowym plebiscycie. Korciło go, aby wybrać „nie”, ale – jak przy każdym innym głosowaniu od zakończenia wojny – nie odważył się. I przez myśl mu przy tym nie przeszło, aby swoimi wątpliwościami dzielić się publicznie! Większej głupoty nie można było popełnić!

– Nie bałeś się? – Kowalski nie dowierzał.

Krzyk patrzył to na jednego, to na drugiego, zastanawiając się, który z nich jest większym debilem.

– Przecież w telewizji cały czas powtarzają, że wybory są tajne. – Łazik wycierał głowę ręcznikiem.

Chyba coś mu padło na mózg! – Krzyk nagle poczuł, że musi się jak najszybciej ubrać i opuścić szatnię. Przebywanie w niej razem z kimś takim mogło przynieść opłakane skutki.

– Skorzystałem tylko z prawa wyrażenia sprzeciwu wobec dalszych cięć... – tłumaczył Łazik.

Całkiem cię pojebało?! – wrzasnął Krzyk w myślach. Nie słyszałeś o mowie nienawiści? Na podstawie tej ustawy poddawanie w wątpliwość stanu klęski żywiołowej było uznawane za jedno z najcięższych przestępstw!

Postanowił nie zapinać koszuli. Chwycił bluzę w dłoń, zatrzasnął szafkę – nie przejmując się tym, że obrazek może się odkleić. Musiał jak najszybciej stąd wiać. Każda sekunda tutaj dłużej oznaczała niebezpieczeństwo oskar-

żenia o współudział, a Departament Bezpieczeństwa Zdrowia Publicznego Obywateli karał równie surowo.

– A ty co myślisz? – Kowalski skierował to pytanie do kolegi, z którym dopiero co czekał na deszcz.

Co za głupi skurwysyn! – Krzykowi zrobiło się słabo. Co on myśli? A chuj im powie! Już raz chciał być odważny i sprzeciwił się systemowi. I jak skończył? Ada do dziś nie mogła mu tego darować!

– No? – podłapał Łazik.

Krzyk postanowił zrobić to, co zwykle w takiej sytuacji.

– Właściwie... – zaczął udawać, że się zastanawia. Koszulę miał w dłoni, wystarczyło wzuć buty i mógł stąd spieprzać. Założył prawy, potem lewy, intensywnie myśląc, co powiedzieć na odczepnego.

Nie zdążył się odezwać, do szatni wpadł brygadzysta. Krzyk wiedział, że Łazik jest jego pupilkiem, ostatnie trzy miesiące właśnie jego wskazywał do premii za wydajną pracę, chociaż ten wcale na to nie zasługiwał.

Teraz jednak przełożony trząsł się jak galareta.

Krzyk ani trochę mu się nie dziwił. Jeśli SYCO porówna adnotacje przy premiach na liście płac, brygadzysta może dostać zarzut działania w zorganizowanej grupie dysydentów.

– Masz... się... stawić... u... dyrektora. – Brygadzysta z trudem się wysławiał. – W... trybie... natychmiastowym.

Nie adresował tego do Krzyka, ale jego też zmroziło. Próbował przełknąć ślinę, ale nie potrafił, a przecież dopiero co wypił dwa łyki!

Za to do Łazika powaga sytuacji najwyraźniej nie docierała.

– Teraz?

– A kiedy, kurwa?! – wypalił brygadzysta. – Na sylwestra?!

– Przecież na sylwestra i tak nie wolno wychodzić z domów... – Łazik najwyraźniej cały czas nie wiedział, w co się wpakował.

– Ale już! – wrzasnął brygadzysta.

– Idę... – odparł Łazik.

Będziesz się cieszyć, jeśli skończy się na obniżeniu dziennego przydziału rodzinnego – Krzyk zrobił krok do przodu, zachodząc w głowę, czy zobaczy jeszcze gburę w pracy. Parę razy zdążył się już przekonać, że w enklawie nie ma ludzi niezastąpionych. Nawet na tak specjalistycznych stanowiskach, jak ich. Jeśli ktoś podpadł władzy, nie było dla niego ratunku.

On sam był wyjątkiem od reguły.

– Powiedziałem: w trybie natychmiastowym! – warknął brygadzysta.

Krzyk zrozumiał, że najwyższy czas się stąd ewakuować. Wykonał kolejny ruch, ale potem musiał się zatrzymać, gdyż drogę zastawiał mu przełożony.

Brygadzysta spojrzał najpierw na niego, potem na Kowalskiego.

– A wy czego się tak gapicie?

Kowalski zajął bezpieczne miejsce za plecami Jana.

– Ja się nie gapię... – odparł cicho.

– Ja też nie – zawtórował Krzyk.

– To czego tu jeszcze chcecie? – wycodził brygadzysta.

– Spierdalać do domu!

Żadnemu z nich nie trzeba było drugi raz powtarzać.

Dziwna pandemia – bo takim mianem ochrzczono ją po latach – która rozpoczęła się w 2020 roku, niemal zepchnęła światową gospodarkę w przepaść. Firmy upadały, ludzie tracili pracę albo umierali w szpitalach nieleczeni, drastycznie wzrosła też liczba samobójstw, zarówno wśród starszych, jak i młodzieży. Potem przyszła wojna na Ukrainie i jeszcze większe problemy gospodarcze. Rządy większości krajów zmieniły priorytety i przestały dbać o ekologię. Liczyło się tylko tu i teraz – walka o nakarmienie miliarda ludzi bez pracy – a nie zmniejszanie emisji dwutlenku węgla czy inwestowanie w zieloną energię. Sytuacji nie poprawiła też zapas systemów edukacji. Miesiące zdalnego nauczania pociągnęły za sobą niespotykany wcześniej w historii świata kryzys kompetencji i społecznego wyobcowania. Decydenci, próbując ratować sytuację, zaczęli wprowadzać kolejne regulacje prawne i restrykcje, a ponieważ nie dawało to efektu, śrubę przykręcano coraz mocniej.

Kiedy zorientowano się, że nie tędy droga, było już za późno. W 2026 roku zmiany klimatyczne ostro przyspieszyły, powodując serię klęsk żywiołowych na całej kuli ziemskiej. Ogromu zniszczeń dopełniła susza trwająca niemal dwa lata. Początkowo bardziej zasobne państwa próbowały ratować inne, ale szybko okazało się, że światowe zapasy są na to zbyt małe.

To właśnie tamten moment wykorzystało kilka korporacji, na czele z Universum Health and Care. Zaproponowały powołanie specjalnej agencji i zaoferowały swój udział w pracach mających zapobiec kataklizmo-

wi. Rządy największych mocarstw przyklasnęły pomysłowi, media ogłosiły zwycięstwo, a komitet noblowski uhonorował konkretną nagrodą pokojową.

Szybko jednak okazało się, że pomoc nie będzie darmowa, a w zamian za nią korporacje zażądały udziałów w firmach dystrybucyjnych oraz wpływu na ścieżkę legislacyjną i kształtowanie polityki wewnętrznej i zewnętrznej rządów.

Wówczas przyszedł drugi cios: w kilku tysiącach miejscach na świecie, niemal jednocześnie, zatruto największe ujęcia i zbiorniki, niemal połowę tego, co ludzkość miała do dyspozycji. Akcja była zorganizowana i chociaż nikt nikogo za ręce nie złapał, co odważniejsi dziennikarze od razu o sabotaż oskarżyli Universum Health and Care oraz dwie współpracujące z nią inne korporacje.

ONZ powołała specjalną komisję, która oczywiście niczego nie wykryła, w przeciwieństwie do syndykatu niezależnych dziennikarzy, którzy wpadli na trop paramilitarnej organizacji powiązanej z koncernami. Przedstawili twarde dowody, ale na zmianę układu sił było już za późno. Światowe zasoby zmniejszyły się drastycznie, podaź zaczęła spadać w postępie geometrycznym, za to ceny wzrosły do niebotycznych rozmiarów. W efekcie przed miliardami ludzi na całym świecie stało widmo śmierci z pragnienia.

I właśnie wtedy wybuchła III wojna światowa. Konflikt nie trwał długo, zaledwie dwa miesiące, za to był katastrofalny w skutkach. Nie wiadomo było, kto pierwszy użył broni jądrowej: Stany Zjednoczone czy Rosja, niektórzy obserwatorzy obwiniali też Chiny. Wojna

nuklearna przerodziła się w konflikt tradycyjny, który dopełnił dzieła zniszczenia. Populacja w niektórych rejonach świata zmniejszyła się o osiemdziesiąt procent, większość terytorium Ameryki Północnej i Azji – a także znaczna część Europy – nie nadawała się do zamieszkania.

Kiedy szary pył opadł, było już tylko gorzej. Wojna była błyskawiczna, ale jeszcze szybciej działały korporacje. Ciała zabitych nie zdążyły jeszcze dobrze ostygnąć, gdy okazało się, że resztki światowych zasobów przeszły na własność trzech z nich, przy czym Universum Health and Care miała największy udział, ponad pięćdziesięcioprocentowy. Co więcej, dzięki porozumieniom z prawie wszystkimi państwami na świecie, zyskały monopol na prowadzenie odwiertów, poszukiwania nowych źródeł, a także akumulowanie zapasów. Zwykłym ludziom nie wolno było bez zezwolenia wykopać nawet zwykłej studni ani też gromadzić deszczówki, zresztą padało zaledwie kilka dni w roku. Efektem tych wszystkich obostrzeń było uzależnienie całych krajów i społeczeństw.

Nic dziwnego, że światem wstrząsnęły fale niepokoju. W odpowiedzi na to rządy kolejnych państw – kierowane z tylnego siedzenia przez władze trzech korporacji – dzieliły swoje terytoria na zamknięte enklawy, pomiędzy którymi poruszać mogli się jedynie obywatele cieszący się pełnią praw – pozostałym nie wolno było ich opuszczać. W Zielonej Górze wydzielono dodatkowo dwie części: Enklawę Wewnętrzną i Enklawę Zewnętrzną. Do tej drugiej wstęp mieli jedynie Pierwśzaki i Drudzy.

W Polsce – jednej z największych przegranych wojny – sytuacja była dramatycznie zła. Od jej wybuchu obowiązywał stan wyjątkowy – przedłużany na kolejne okresy – konstytucja była zawieszona, prawo do odwołania się do sądu od decyzji organów administracji publicznej w większości spraw zostało bezterminowo wstrzymane.

Faktyczną władzę w enklawach sprawowali lokalni politycy wskazywani przez rząd centralny, jednak stanowiska nie mógł objąć nikt, kto wcześniej nie zostałby zaakceptowany przez miejscowe przedstawicielstwo jednej z trzech korporacji. W Enklawie Zielona Góra – bo tak brzmiała teraz oficjalna nazwa miasta – był nim Grzegorz Bernat, którego jednak wszyscy nazywali skrótowo Pierwszym, a niektórzy – tylko w myślach – Pierwszym Skurwysynem. To on decydował o wysokości przydziałów i – co równie istotne – cenie litra wody, która nieustannie się zmieniała. Tak naprawdę jednak każda decyzja była podejmowana w gabinetach Universum Health and Care, Bernat jedynie wcielał ją w życie.

Rozdział 3

Ada weszła do dyżurki pielęgniarskiej, powłóczęc ze zmęczenia nogami. Pierwotnie grafik przewidywał dziesięciogodzinną zmianę, ale była w szpitalu już o połowę dłużej.

Otworzyła szafkę zabezpieczoną kodem, spojrzała na dwie litrowe butelki, jedną z dzisiejszego przydzia-

łu dla przedstawiciela zawodu zaufania społecznego, drugą będącą wynikiem oszczędnego gospodarowania w minionym tygodniu. W tej pierwszej została może jedna trzecia, miała nadzieję, że wystarczy do końca pracy. Gdyby udało jej się dotrzeć na tej reszcie, cały litr mogłaby zostawić sobie na czarną godzinę. A tej mogła spodziewać się wkrótce, na szpitalnych korytarzach coraz głośniejsze mówiło się o kolejnej obniżce. Nie dyskutowano już o tym, czy ona nastąpi, ale kiedy i jak dotkliwa się okaże.

Sprawdziła czas na zegarze wiszącym nad drzwiami i poczuła pieczenie pod powiekami. Wiedziała, że dyrekcja ma prawo wezwać każdego pracownika – lekarza i pielęgniarki też – bez względu na ustalony wcześniej grafik, tak samo, jak może przedłużyć mu dyżur. W teorii wytyczne obowiązywały wszystkich zatrudnionych, ale w praktyce egzekwowano je tylko od pracowników trzeciej i czwartej kategorii: salowych, sprzątaczek i pracowników gospodarczych. A ponieważ personel medyczny z założenia był przypisany do dwóch pierwszych grup, lekarze i pielęgniarki nie musieli się o to martwić. W ich przypadku wezwania w trybie pilnym zdarzały się sporadycznie, najwyżej kilka razy w roku i nigdy nie miały charakteru represji.

Ona znajdowała się w diametralnie innym położeniu. Jako jedyna pielęgniarka nienależąca do Pierwszaków i Drugich, była wykorzystywana do granic możliwości fizycznych i psychicznych, o ile już ich nie przekroczyła. Właściwie nigdy nie wiedziała, o której godzinie wróci do domu ani też kiedy odbierze wiadomość nakazującą stawienie się do pracy w przeciągu dwóch godzin.

Raz jeszcze skontrolowała czas. Do końca regulaminowej przerwy miała jeszcze kwadrans. Położyła się na kozetce, przyłożyła głowę do wymiętoszonej poduszki. Zamknęła oczy i właśnie wtedy zadzwieczał dzwonek interkomu.

Podniosła się, ale umęczone ciało zaprotestowało i straciła równowagę.

Telefon cały czas dzwieczał głośno.

Syknęła, uraziwszy kontuzjowany kilka tygodni wcześniej łokieć.

Brzęczenie było coraz bardziej natarczywe.

Wiedziała, że musi podnieść słuchawkę.

Zgłosiła się. Dzwonili z dolnego SOR-u.

– Tak... Już idę... – Poprawiła wygnieciony fartuch i wyszła z dyżurki.

Do celu nie miała daleko, ale po drodze musiała przejść przez kilka zatęchłych korytarzy. Z wiszących nad głowami rur odpadały płaty farby. Nie lepiej prezentowały się ściany pociągnięte szarą emalią. Spod niektórych wielkich dziur wyłaniały się plamy pleśni i grzyba.

Oświetlenie szwankowało, musiała uważać, aby nie potknąć się na wyszczerbionych kaflach, położonych chyba jeszcze w poprzednim stuleciu.

Wreszcie dotarła do wielkiej sali jakiś czas temu przerobionej na poczekalnię. Niewiele osób ze sobą rozmawiało, większość siedziała na lepiących się ławkach, zachowując przepisowy dystans. Gdyby nie dobiegające zewsząd jęki i płacz małych dzieci, można by to miejsce wziąć za halę dworcową.

Tak, jak się spodziewała, liczba pacjentów, jaką widziała przed przerwą, ani trochę się nie zmniejszyła.

Niektórzy tkwili już tak długo, że rozpoznawała ich twarze. Mimochodem zerknęła na wielki nowoczesny monitor zawieszony na dużej ścianie, nijak niepasujący do jej odrapanej i brudnej powierzchni. Sprawdziła temperaturę ciała widniejącą przy każdym numerze identyfikacyjnym, potem skontrolowała jeszcze czas oczekiwania na poradę.

Rekordzista przekroczył już osiemnaście godzin.

A pomyśleć, że to jest spokojny dzień... – westchnęła w duchu, potem z punktu informacyjnego odebrała kartę pacjenta, weszła z nią do gabinetu.

Chwilę później pojawiła się w nim kobieta z twarzą pooraną głębokimi zmarszczkami, trzymająca za rękę dziecko z zabandażowaną głową.

Ada zerknęła w dokument, chłopiec miał siedem lat.

– Co się stało? – spytała, zakładając rękawiczki lateksowe.

– Spadł z huśtawki i rozciął sobie głowę – odpowiedziała matka. – Dostał na to zgodę! – dodała szybko.

– Na rozbicie głowy? – spytała Ada machinalnie.

– Na skorzystanie z huśtawki – wyjaśniła. – Zarejestrowaliśmy się zgodnie z prawem.

– Mogę zobaczyć? – Nie czekając na odpowiedź, zaczęła odwijać bandaż przesiąknięty krwią.

Starła się robić to delikatnie, ale chłopiec i tak zaczął płakać z bólu.

– Paskudna rana... – powiedziała, patrząc na głębokie rozcięcie. – Trzeba szyć.

– Długo będziemy musieli na to czekać? – Kobieta przytuliła syna do piersi, zaczęła go głaskać po policzku.

Ada sprawdziła coś szybko w karcie.

– Nie ma jeszcze wyników badań na obecność wirusów w organizmie – wyjaśniła. – Dopóki nie dotrą, nie można zrobić zabiegu.

– Przecież to tylko kilka szwów! – Pierwszy raz od wejścia do gabinetu kobieta podniosła głos. – Parę minut i po sprawie...

– Przykro mi. – Ada rozłożyła wymownie ręce. – Takie są procedury.

– Procedury? – Miała łzy w oczach. – Czekamy już prawie sześć godzin... On cierpi...

Jakby na dowód tego chłopiec załkał cicho.

– Bez wyników pomoc medyczna nie może zostać udzielona. – Pielęgniarka wznosiła się na wyżyny cierpliwości. Nie ona stanowiła prawo, nie ona powinna zatem tłumaczyć się pacjentom.

– A jeśli ta rana byłaby zagrożeniem życia, to co wtedy?

– Już pani powiedziałam: takie są procedury i musimy się ich trzymać.

– Ile to może potrwać?

– To zależy od laboratorium. – Jak miała powiedzieć matce tego dziecka, że wyniki mogą być za kwadrans, ale równie dobrze jutrzejszego rana.

Kobieta przyłożyła dłonie do uszu syna.

– A jeśli wda się zakażenie? – spytała.

– Wtedy trzeba będzie go przez kilka dni położyć na oddziale. – Nie dodała już, że wcześniej trzeba by znaleźć jakieś wolne łóżko, o co łatwo nie będzie.

– Kilka dni? – Była przerażona. – A na które piętro go zabierzecie? – wyszeptała. – Na trzecie?

Ada zaprzeczyła krótkim ruchem głowy. Nie musiała pytać kobiety o status, na ten SOR trafiali tylko trzeciaki i czwartaki, a im możliwość skorzystania z polikliniki – wyposażonej w najnowocześniejszy sprzęt i obsługiwany przez najlepszą kadrę – nie przysługiwała.

– Czyli na drugie? – Kobieta nie miała już cienia wątpliwości. – Tam... – Znow przysłoniła synowi uszy, ale niepotrzebnie, zasnął. – Tam jest tylko umieralnia... Przyjmujecie pacjentów... Kładzicie ich do łóżek... I czekacie, aż umrą...

– Postaram się sprawdzić, czy laboratorium nie mogłoby się trochę pośpieszyć...

– Dziękuję! – Uśmiechnęła się z wdzięcznością, ale zaraz potem przez jej twarz przebiegł grymas bólu.

– Dobrze się pani czuje? – spytała Ada instynktownie.

– To nic... – Gwałtownie pokręciła głową.

– Mdli panią? – Zaczęła się jej bacznie przyglądać.

– Kiedy pani ostatnio jadła?

– Nie pamiętam... – Zmrużyła oczy.

Pielęgniarka opuściła wzrok niżej, na brzuch, i już wiedziała. Ledwie było widać, jeśli miała rację, to był dopiero drugi miesiąc. Dwukrotnie otworzyła prawą dłoń, uruchomiła wirtualfona, sprawdziła w systemie dane kobiety. Ostatnią wizyta u ginekologa miała trzy lata temu.

– Chłopiec czy dziewczynka?

– Słucham?! – Kobieta udała, że nie rozumie.

– Pani jest w ciąży, prawda? – spytała cicho.

– Skąd... – Próbowwała ukryć zdenerwowanie.

– Nie oszuka mnie pani.

– Nikogo nie chcę oszukiwać... Tak... Jestem... – Kobieta się poddała. Wiedziała, że prędzej czy później prawda i tak wyjdzie na jaw. Może nawet odczuwała coś na kształt ulgi, że to już się stało. – Nie znam płci. Badanie jest takie drogie...

– Ma pani zgodę komisji? – Zanim Ada skończyła pytać, знаła już odpowiedź.

– A po co to pani wiedzieć?

Pielęgniarka chwyciła kartę chłopca, ruszyła do wyjścia.

– Przepraszam, to nie pani wina... – Kobieta ściszyła głos. – Nie dostaliśmy pozwolenia. Mąż starał się w zakładzie pracy... Ja też... Bez efektu.

– Regulamin nakazuje mi poinformowanie panią o konsekwencjach... – Ada źle czuła się w tej roli, ale nie miała wyjścia. Gdyby wyszło na jaw, że nie dopełniła obowiązku, straciłaby prawo wykonywania zawodu. – Muszę też odnotować w systemie fakt przeprowadzenia tej rozmowy.

Kobieta wzdrygnęła się nerwowo.

– Coś pani powiem, tak od siebie... – Ada mówiła niemal niedosłyszalnie. – Bez zgody komisji nie zwiększą wam dziennego przydziału rodzinnego. Sztucznego mleka dla dziecka też nie dostaniecie.

– Przecież możemy podpisać zobowiązanie o odpracowaniu dodatkowego przydziału przez dziecko po uzyskaniu przez nie pełnoletności... Trzeciaki i czwartaki mają taką możliwość! – Jej oczy zaszkliły się łzami.

– Tylko wtedy, jeśli wcześniej uzyskają zgodę komisji na zajście w ciążę.

W odpowiedzi kobieta tylko cicho jęknęła.

– Będzie pani musiała karmić piersią, a wtedy trzeba pić dużo więcej niż zwykle – tłumaczyła Ada dalej.
– Macie z mężem siedem miesięcy na przygotowanie zapasów.

– Oboje pracujemy siedemdziesiąt dwie godziny tygodniowo... – Obliczyła szybko w myślach. – Do tego dochodzi jeszcze zdalne nauczanie... – Pokazała na chłopca, który cały czas spał. – Nie mamy jak wyrobić dodatkowego limitu...

Pielęgniarka miała już coś powiedzieć, ale drzwi do gabinetu otworzyły się z hukiem, stanął w nich Błażej Bach, ordynator oddziału wewnętrznego.

– Pani pozwoli ze mną. – Wycedził, patrząc na Adę.

– Już idę, panie doktorze. – Podeszła do kobiety.
– Sprawdzę w laboratorium to, co mówiłam... A na razie musicie wrócić do poczekalni.

– Dziękuję. – Kobieta zaczęła budzić syna.

– Jeśli chodzi o naszą rozmowę... Zapasy... – Obejrzała się, ordynatora na szczęście nie było już w drzwiach.
– Jeżeli tego nie zrobicie, dziecko nie przeżyje. – Wyszła na korytarz, przyspieszyła kroku, wiedziała, że lekarz nie lubi, kiedy każe mu się czekać.

– Komuś chyba mieszają się priorytety. – Bach sięgnął rękami do stetoskopu zawieszonego na szyi.

– Bardzo pana ordynatora przepraszam... Musiałam...
Przerwał jej bezceremonialnie.

– O co chodzi z tym laboratorium?

– Muszę sprawdzić wyniki testu wirusowego... – Pochwyciła się nie kłamać, ale też i nie mówić całej prawdy.

– Przypominam o obowiązujących limitach na dolnym SOR-ze! – Z premedytacją podniósł głos. Pоче-

kalnia, jak szpitalne korytarze i większość gabinetów, naszpikowana była mikrofonami i kamerami, ale panujący w niej harmider mógł utrudnić superczułowemu sprzętowi wychwycenie tego, co powiedział.

– Oczywiście, pamiętam! – zapewniła solennie.

– Kto wydał taką ilość leków? – Pokazał wypełnioną kartę zapotrzebowania, cały czas mówiąc przesadnie głośno.

– Ja. – Ada nie musiała patrzeć na poszczególne rubryki, już wiedziała, co jest powodem tego, że ordynator wewnętrznego pofatygował się na dolny SOR.

– Na jakiej podstawie?

– Mieliśmy zatrucie pokarmowe w żłobku...

– I co z tego?! – wrzasnął. – Ile razy mam powtarzać, że w przypadku pacjentów z Enklawy Wewnętrznej obowiązują limity i że trzymamy się ich ściśle, bez żadnych odstępstw!

– Ale dwadzieścioro dzieci wymagało natychmiastowej...

– Ja – zaakcentował – jestem ordynatorem i to ja – kolejne podkreślenie – decyduję, czy ktoś wymaga natychmiastowej pomocy.

Wiedziała, że jakikolwiek sprzeciw nie ma racji bytu.

– Oczywiście – potwierdziła skwapliwie.

– Wam, pielęgniarkom, wydaje się, że jesteśmy tutaj, aby spełniać wszystkie zachcianki pacjentów... – Zgrzytał zębami. Nagle spojrzał na nią bacznie. – W sumie nie ma się co dziwić...

– Co pan ordynator ma na myśli? – spytała niepewnie.

– Jesteś jedyną siostrą mieszkającą w Enklawie Wewnętrznej. – Niezauważalnie przeszedł na „ty”. – Gdyby

nie deficyt pielęgniarek, czyściłabyś tu kible. – Ciął słowami.

– To nie moja wina. – Zamknęła oczy, nie chcąc, aby Bach zobaczył w nich łzy.

– Dla jasności: to nie były moje słowa, ale jednego z dyrektorów.

Nie uwierzyła mu.

– Ja mam o tobie całkiem inne zdanie. – Nagle stał się przymilny.

Była zaskoczona takim obrotem sprawy. Brakowało jej pomysłu, jak zareagować.

– Czasy mamy takie, że każde nasze posunięcie odciśka piętno na całym dalszym życiu – mówił dalej.

Zaraz potem chwycił ją delikatnie za ramię, przesunął o dwa kroki w bok.

Nie wiedziała, skąd ten ruch, dopóki nie uświadomiła sobie, że w ten sposób ustawił ich za filarem, usuwając z pola widzenia kamer. Czyżby chciał uniemożliwić systemowi czytanie z ruchu jego warg? Do czego zmierzał?!

– Rozumiesz, co mam na myśli? – Przysunął swoją twarz do jej.

– Chyba nie... – odpowiedziała ostrożnie. Czyli to prawda, co opowiadały dziewczyny z polikliniki: że Bach żadnej spódniczce nie przepuści. Aż dziw, że tak długo udawało jej się przed nim ukrywać. Pewnie tylko dzięki temu, że do tej części szpitala prawie nie zaglądał.

Uśmiechnął się, a na jego twarzy pojawił się grymas, który Adzie kojarzył się tylko z jednym.

– Zawsze jestem otwarty na wszelkie propozycje – mówił dalej. – Te dotyczące awansu także. Drzwi mo-

jego gabinetu zawsze stoją przed tobą otworem. Zawsze.

Niedoczekanie twoje! – warknęła w myślach, a na głos powiedziała:

– Muszę wracać na dyżur.

– Jak chcesz. – Obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku windy.

Rozdział 4

Laboratorium spisało się, jak nigdy, i Adzie udało się uzyskać potrzebne wyniki. Teraz wystarczyło już tylko przygotować chłopca do szycia.

Była w trakcie czyszczenia rany, kiedy drzwi do zabiegowego się otworzyły. Nawet nie zerknęła w tę stronę, była pewna, że to lekarz dyżurny.

– Siostro, proszę na górę. – To znowu był Bach.

Spojrzała na niego i przestraszyła się nie na żarty. Ordynator miał złość wymalowaną na całej twarzy.

– Ale jeszcze nie skończyłam przygotowania... – powiedziała machinalnie.

– Zrobi to za panią doktor Burski! – krzyknął Bach.

– A pani na górę. Migiem!

Odłożyła narzędzia na tackę, zdjęła rękawiczki i wyrzuciła do brudownika. Ruszyła za ordynatorem.

Kiedy jechali windą, nie odezwał się ani razu. Ada też bała się otworzyć usta. Jeśli jechali na górę, to znaczy, że do niego. W takim razie musiała szykować się na najgorsze. Jeżeli zacznie się do niej dobierać, a ona mu się sprzeciwi, wyrzuci ją z pracy. Gdy tak się sta-

nie, kwestią czasu będzie, jak z Jankiem i Nikolą umrą z pragnienia. Gdyby nie jej zwiększony przydział, nie wyżyliby trzyosobowej rodziny, limity wypracowywane przez Janka były śmiechu warte. Mogła napić się do woli w pracy, co kilka dni udawało jej się nawet wygospodarować nadwyżkę, którą zabierała do domu. To ich ratowało.

A teraz ta obrzydliwa świnia zamierzała jej to wszystko odebrać!

Żałowała, że nie zabrała ze sobą nożyczek, wbiłaby mu je teraz w plecy. Albo jeszcze lepiej: w oko! To samo, którym taksował ją pół godziny temu.

Wysiedli z windy, przeszli przez służbę kontaminacyjną, znaleźli się w korytarzu prowadzącym na oddział wewnętrzny.

Byli dwie kondygnacje ponad dolnym SOR-em – siedem, może osiem metrów wyżej – a jakby w zupełnie innym świecie. Ada bywała tu sporadycznie i za każdym razem nie mogła się nadziwić. Ściany i podłogi lśniły czystością, odbijając świetlne refleksy emitowane przez nowiutkie lampy. Nozdrza mile łechtala mieszanka środka dezynfekującego i odświeżacza powietrza. Z głośników rozlegała się relaksacyjna muzyka.

Nigdy nie będzie mi dane tu pracować – westchnęła, myśląc o zbliżającym się starciu z ordynatorem.

Dotarli do gabinetu Bacha, ale ku jej zdziwieniu, minęli go. Lekarz zatrzymał się dopiero przed kolejnymi drzwiami, zza których dochodziły dziecięce wrzaski.

– Mamy ważnego gościa – wyszeptał.

Co to ma wspólnego ze mną? – zaczęła się zastanawiać.

– Najwyższa klasa VIP – mówił dalej. – Wiesz, co to oznacza?

Wiedziała. Ta część polikliniki była przeznaczona tylko dla członków Partii i wybranych obywateli pierwszej i drugiej kategorii. Oni nie musieli czekać w kolejkach, błagać o skierowania do specjalistów ani składać podań o terapię lekami eksperymentalnymi. Kilka lat wcześniej lecznica zajmowała się też innymi pacjentami, wszystko zmieniło się po wprowadzeniu przez rząd rozporządzenia w sprawie szczególnego zakresu oraz warunków udzielania świadczeń opieki zdrowotnej dla najważniejszych osób w państwie.

– To twoja szansa... – powiedział cicho, po czym nacisnął klamkę i otworzył drzwi, aby wpuścić pielęgniarkę do środka.

Wrzaski niespodziewanie ucichły.

Ada zrobiła krok, a kiedy zobaczyła, kto jest w gabinecie, zamarła.

– Proszę się jej nie bać. – Męski głos miał w sobie niezwykłą siłę. – Wnuczka krzyczy tak z powodu stresu.

Doskonale wiedziała, że to nieprawda, ale za nic w świecie nie odważyłaby się wyprowadzić go z błędu.

– Właśnie to jest siostra, która potrafi najlepiej radzić sobie z dziećmi. – Bach rękawem fartucha otarł krople potu z czoła. – Przynajmniej z tych, które mają teraz dyżur.

Tę ostatnią uwagę mógł sobie darować – z tą myślą weszła do gabinetu. Dopiero teraz zauważyła, że wewnątrz jest też dyrektor szpitala Szymon Jaracz. W niezły bigos wpakowała się na sam koniec zmiany.

– To jest pan... Pierwszy Przewodniczący... Grzegorz Bernat. – Dyrektor zaczął się jękać.

– Wiem – wymysknęło się jej.
– To pani Adriana Więckiewicz-Krzyk – mówił dalej Jaracz.

– Miło mi. – Bernat podsunął dłoń do pocałunku.
– Pani jest żoną tego Krzyka? – spytał, kiedy wypełniła protokół. – Jana Krzyka?

– Tak...
– Nasz dzielny bohater... – westchnął Bernat głęboko.
– Jaka szkoda, że...

Zamknęła oczy, nie umiała się powstrzymać.
– Mniejsza z tym. – Pierwszy Przewodniczący zauważył jej reakcję. – Moja kochana wnusia rozcięła sobie palec...

Na dźwięk tych słów dziewczynka wrzasnęła, po czym podbiegła do dyrektora i – zanim mężczyzna zdążył zareagować – ugryzła go w nogę pod kolaniem.

– To nic takiego... – Wzruszył ramionami, zaraz potem zacisnął zęby.

Dopiero teraz Ada dostrzegła, że błękitna koszula, którą nosił, pod pachami miała brzydkie ciemne plamy.

– Jest trochę przestraszona. – Bernat patrzył z zaciekawieniem na pielęgniarkę.

Przestraszona? – pomyślała Ada. Co najwyżej rozpuszczona i rozkapryszona. Dawno nie widziała tak agresywnego dziecka.

– Czym konkretnie rozcięła palec? – Podeszła do szafki, otworzyła ją, zaczęła przeglądać zawartość.

– Nożyczkami – wyjaśnił Bernat. – Chyba będzie potrzebne szycie.

– Zaraz sprawdzimy. – Udało jej się znaleźć to, czego szukała, czyli małego pluszowego misia. – Chodź, skar-

beńku, coś ci pokażę. – Podeszła do dziewczynki, kucnęła przy niej. – Zobacz, miś ma chorą łapkę, widzisz?

Mała pacjentka spojrzała na zabawkę.

– Pomożesz mi go wyleczyć? – mówiła Ada dalej.

– Najpierw sprawdzimy, co mu się stało w paluszek, dobrze?

Dziewczynka potaknęła.

– Ale miś się trochę boi... – Pielęgniarka miała zmysły napięte do granic możliwości. Nie dość, że po prostu padała z nóg, to jeszcze na ręce patrzyło jej trzech mężczyzn, z których każdy mógł ją pozbawić zatrudnienia, a jeden z nich – najbardziej zainteresowany efektami jej pracy – nawet życia. Wystarczyłoby jedno słowo. – Pomożesz mu?

– Jak? – spytała dziewczynka radośnie.

– Pokaż mu swój paluszek i powiedz, że to nic groźnego. Bardzo dobrze... A teraz pokaż mi, tak?

Dziewczynka spełniła prośbę bez zastanowienia.

– A teraz przemyjemy paluszek, dobrze? – Ada czuła się tak, jakby właśnie w pojedynkę przekładała stukiogramowego pacjenta na drugi bok. – Najpierw twój, żeby miś zobaczył, że to nic takiego, dobrze? – Sięgnęła po środek do odkażania, delikatnie przemyła ranę. – I po wszystkim!

– Brawo! – Pierwszy Przewodniczący kilka razy zakłaskał. – Moja dzielna wnusia!

– Mówiłem, że siostra Ada jest najlepsza? – Ordynator powiedział to tak, jakby to jego zasługą było uspokojenie dziewczynki.

– Musimy jeszcze nakleić plasterek i będzie po wszystkim – rzekła Ada.

– Zaraz zawołam lekarza dyżurnego... – Dyrektor ruszył do drzwi.

– Chwileczkę. – Bernat go powstrzymał. – Pani Ada nie może tego zrobić?

– Mogę. – Pielęgniarka podeszła do szafki z lekarstwami.

– Panowie... – Bernat spojrział na obu mężczyzn.

– Dziękuję za pomoc, obecność panów jest już zbędna.

– Oczywiście! – Jaracz machnął nerwowo na Bacha.

– Najmocniej pana Pierwszego Przewodniczącego przepraszamy. To dlatego, że chcieliśmy osobiście dopilnować...

– Żegnam panów. – Uśmiech na twarzy Bernata nie miał nic z naturalności. – Siostra Ada z pewnością doskonale poradzi sobie sama.

– Już nas nie ma! – Dyrektor wyszedł na korytarz, zaraz za nim tak samo postąpił Bach, zamykając za sobą drzwi.

– Nawet nie zapłakała. – Bernat aż jaśniał z zadowolenia. – Jak pani to zrobiła?

– Lata praktyki – odparła, a przed oczami pojawiła jej się paskudna rana głowy, która pewnie cały czas czekała na szycie na dolnym SOR-ze.

– Wygląda pani na zmęczoną... – Powiedział czule.

– Jest pan dżentelmenem... – Zaśmiała się, machinalnie sięgając palcami do skroni, aby poprawić kosmyk włosów opadających na czoło. Tyle że przecież nie miała już ich na głowie. – Dobrze, że w dyżurce nie mamy lustra. – Skłamała. – Pewnie bardziej przypominam stracha na wróble niż pielęgniarkę...

– Bardziej niż pielęgniarkę przypomina mi pani modelkę.

Ada wiedziała, że mu się podoba – i to od pierwszego spojrzenia, jakim ją otaksował, gdy tylko przekroczyła próg gabinetu – ale nie miała pojęcia, że aż tak bardzo.

– Jest pan bardzo miły... – Obdarzyła go uprzejmym uśmiechem.

Bernat miał w sobie coś magnetycznego. Nie był fizycznie przystojny, można by powiedzieć, że wręcz przeciwnie, bo był posiadaczem brzydkiej twarzy, dość ciężkiej figury i pokaźnego brzucha. Mimo to kobiety i tak oglądały się za nim na ulicy – przynajmniej do czasu, kiedy zaczął pełnić funkcję Pierwszego Przewodniczącego, bo od tej pory rzadko pokazywał się publicznie bez swojej licznej świty.

– Ile godzin jest pani na nogach?

– Niedługo będzie szesnaście...

– Szesnaście? – Był autentycznie zdumiony. – Nie sądziłem, że dyżury w poliklinice są tak długie!

– W poliklinice nie, panie Pierwszy Przewodniczący.

– Proszę mi mówić po imieniu. – Uśmiechnął się.

– To pani tu nie pracuje? W poliklinice? Nic już nie rozumiem...

– Pracuję w tej drugiej części szpitala... – powiedziała to w taki sposób, jakby za coś przepraszała.

– A dlaczego nie tutaj?

– To długa historia... – Nagle Ada poczuła się ogromnie zmęczona.

– Ktoś o tak szerokich kompetencjach nie powinien się tam marnować... – Intensywnie nad czymś myślał.

– Muszę o tym porozmawiać z dyrektorem. Oczywiście, o ile pani nie ma nic przeciwko...

Po sposobie, w jaki mówił, wnioskuje, że tętno mu przyspieszyło.

– Byłabym niezmiernie wdzięczna, panie Pierwszy Przewodniczący...

– Grzegorz – przypomniał.

– Byłabym wdzięczna, panie Grzegorzu.

– Zobaczę, co da się zrobić. – Uśmiech na jego twarzy zrobił się jeszcze szerszy. – A co do tej długiej historii... Bardzo lubię słuchać, kiedy piękna kobieta ma coś interesującego do powiedzenia.

Spojrzał na nią tak, że poczuła motyle w brzuchu.

– Znalazłaby pani czas na miłą pogawędkę? – spytał nagle.

– Oczywiście! – odpowiedziała bez zastanowienia. Nawet gdyby nie chciała, nie mogła odmówić. Nie Pierwszemu Przewodniczącemu. Poza tym, gdyby rzeczywiście porozmawiał z dyrektorem... – Kiedy?

– Jestem trochę zapracowany... – rzekł wyjaśniająco.

– Każę sprawdzić w kalendarzu wolne terminy i ktoś z moich pracowników panią powiadomi.

– Będę czekać. – Zmusiła się do uśmiechu. Zaczęła się zastanawiać, czy to nie jest tylko kurtuazja. Albo uprzejmość wynikająca z impulsu chwili i wdzięczności za pomoc wnuczce.

– Dżesika, słoneczko, idziemy... – Chwycił dziewczynkę za rączkę. Podeszedł z nią do drzwi, otworzył.

– Podziękuj pani pielęgniarce.

– Nikomu nie będę dziękować. – Dziecko powiedziało to w taki sposób, jakby deklamowało wy-

uczony wierszyk. – Robole są od tego, żeby nam służyć.

– Znowu naoglądałaś się telewizji... – strofował łagodnie. – Pani wybacz, to tylko dziecko...

– Nic się nie stało. – Kolejny raz zmusiła się do uśmiechu.

– Do widzenia. – Bernat wziął dziewczynkę na ręce i wyszedł z nią na zewnątrz pomieszczenia. – Wkrótce się odezwę. – Zniknął w korytarzu.

Ada jeszcze przez chwilę stęsknionym wzrokiem wpatrywała się w puste drzwi.

Rozdział 5

Niedziela 21 września 2031

Krzyk już dawno temu stracił rachubę, jak długo jest tutaj przetrzymywany. Twarde siedzisko krzesła boleśnie raniło w pośladki, ale i tak było to nic w porównaniu z wykręconymi do tyłu rękoma przymocowanymi plastikowymi opaskami do oparcia. Co rusz tracił świadomość, głowa opadała bezwładnie, po czym zrywał się jak oparzony, targany skurczami mięśni.

Na początku wołał Rosjan, potem jednak, kiedy dotarło do niego, że nie ma to sensu, przestał. Kilka godzin wcześniej – tak przypuszczał – nakarmili go słonymi śledziami. To był pierwszy posiłek od wielu dni, rzucił się na niego łapczywie, zupełnie nie przeczuwając, że pada ofiarą diabolicznego planu.

Teraz, kiedy z pragnienia powoli odchodził od zmysłów, było już za późno.

Pić...

Pić.

Pić!

Pić!!!

Mięśnie karku znów zbiły się w twardą masę, zaraz potem głową Krzyka wstrząsnął paroksyzm bólu.

Wtedy się obudził. Zaczął rozglądać się niewidzącymi oczami, dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że to był tylko senny koszmar i że jest u siebie na Słowackiej 15, a nie w obozie jenieckim.

Spróbował poruszać językiem, ale ten był równie chętny do współpracy, co drewniany kołek. Palcami przesunął po spierzchniętych wargach, pod opuszkami, zamiast delikatnego dotyku, wyczuł papier ścierny.

Pić.

Wydostał się z łóżka ostrożnie, aby nie obudzić Ady. Założył kaptcie, poczłapał do lodówki, szukając czegoś, czym mógłby ugasić pragnienie, chociaż doskonale wiedział, że niczego nie znajdzie. Od wczorajszego wieczoru, kiedy przetrząsnął ją całą dwukrotnie, nie dotarły żadne zakupy.

Wtem z tyłu, za grubym kawałkiem mortadeli, dostrzegł słoik z ogórkami kiszonymi. Wyjął go, był pusty, nie licząc samotnej łydki koperku. Podniósł naczynie, przytknął do warg, przechylił, spłynęły dwie, może trzy krople.

Pić!

Sięgnął paluchami po koperek, wyciągnął go nie bez problemów. Uniósł dłoń nad usta, ścisnął ile sił. Kilka kropel wpadło prosto do gardła. Zakrztusił się i zanim

zdążył zareagować, to, z czego przed chwilą tak się cieszył, leżało na podłodze.

Kurwa! – zaklął w myślach.

Gdzie jeszcze mogło być coś do picia?! Malina rzadko chowała butelki, zwykle wypijała zawartość, nie myśląc o tym, co będzie za kilka, kilkanaście godzin, wiedziała, że on zawsze się z nią podzieli, choćby ostatnim łykiem. Zupełnie innym podejściem charakteryzowała się Ada: zawsze miała zachomikowany zapas, którym czasami się dzieliła, o ile miała akurat dobry nastrój. Wiedział gdzie, ale to było nieistotne, gdyż szafki strzegł sześciocyfrowy kod.

Wtem za plecami poczuł czyjąś obecność.

– Szukasz mojej własności?

– Nie – odpowiedział zgodnie z prawdą.

Ada mu nie uwierzyła. Podeszła do szafki, jedną ręką zasłoniła panel, drugą wstukała kombinację.

Cichy trzask powiadomił go, że drzwiczki się otworzyły.

– Masz szczęście. – Zatrzasnęła je z powrotem, po czym zniknęła w drzwiach sypialni.

Krzykowi odeszła ochota, aby wracać do wspólnego łóżka. Skierował się więc w stronę balkonu.

– Tak, mam szczęście... – rzucił sarkastycznie pod nosem, kiedy miał już pewność, że Ada nie może tego usłyszeć. – Szczególnie do małżonki.

✱

Przejechał palcami po balustradzie, ale – tak, jak się spodziewał – nie znalazł choćby kropli rosy. Na to było za ciepło. Upały w końcu września nikogo już nie dziwiły, ale ta noc była nadzwyczaj ciepła: termometr pokazywał dwadzieścia dwie kreski.

Wbił wzrok w blok naprzeciwko, a raczej w jego ruiny ginące w nikłym świetle gwiazd. Podobnie jak większość budynków na dwóch sąsiednich osiedlach – Przyjaźni i Łużyckim – został zniszczony podczas nalotu wojsk NATO chcących wyprzeć z miasta Ruskich. Operacja się udała, ale zabudowa mocno ucierpiała. Kiedyś były to jedne z największych sypialni Zielonej Góry, teraz do zamieszkania nadawało się zaledwie kilka bloków. Krzyk nie mógł jednak narzekać, jego rodzinne miasto i tak miało mnóstwo szczęścia. Nieodległy Żagań został zrównany z ziemią przez wybuch bomby atomowej. Wyparował w jednej chwili.

Przesunął dłonią po różnokolorowych rozchodnikach stojących na parapecie, ale były równie suche, co poręcz. Marzenia okazały się płonne. A przecież miał podstawy, aby liczyć na uśmiech fortuny. W tym miesiącu trafiły się aż trzy dni z rosą, wtedy udało mu się uzbierać prawie całą butelkę. Co odważniejsi sąsiedzi wychodzili na dachy, do momentu, w którym jeden z nich spadł, łamiąc kark.

Większe plony można by było zebrać z resztek trawnika przed budynkiem, ale tam obowiązywał zakaz ściśle egzekwowany przez SBP. Nikt nie ryzykował, ten rejon był pilnowany przez kamery SYCO, w odróżnieniu od bloku: klatka schodowa i mieszkania były jedynymi miejscami pozbawionymi szpiegowskiej aparatury. Wyjątkiem były czujniki rejestrujące temperaturę domowników i prezentujące ją na zbiorczej tablicy umieszczonej w wiatrołapie.

Krzyk usiadł na plastikowym krześle, sięgnął do sznurka, chwycił za slipy, przysunął je do nosa. Wciąż waliły

tym słodkim środkiem do prania na sucho. Preparat był równie skuteczny, co tradycyjne płyny używane przed wojną, ale miał jeden feler: ubrania nasiąkały fetorem. Zgodnie z zapewnieniami producenta wystarczyły dwadzieścia cztery godziny intensywnego wietrzenia, aby się go pozbyć, ale jego nos miał na ten temat inne zdanie. Nie mówiąc już o tym, że traktowana w ten sposób bielizna gryzła ciało podobnie do wełny. Nigdy nie przyzwyczał się do tego i gdy tylko była możliwość, po kryjomu robił krótkie tradycyjne pranie w pracy, pod prysznicem.

Szkoda, że wczoraj się nie udało – syknął pod nosem, a jego myśli powędrowały do Łazika. Na samo wspomnienie o wydarzeniu w szatni, przeszedł go nieprzyjemny dreszcz. Ciekawe, co Miłosz usłyszał w biurze dyrektora...

Tam pewnie nie był już taki butny, jak między kolegami... Albo głupi...

Nie, Łazik nie jest głupi – Krzyk strofował samego siebie. Może i Drażal – jak go nazywali – był z pozoru gburem, ale tylko z pozoru, bo taką rolę odgrywał, nie do końca chyba zdając sobie z tego sprawę. Nawet sąsiedzi – a mieszkał w następnej klatce – mieli o nim różne zdanie.

Też bym pewnie tak robił, żeby nie postradać do końca zmysłów – westchnął. W wodociągach – jak też w ich bloku – chyba wszyscy kojarzyli, że Łazik służył wcześniej w Korpusie Ochrony Rolnictwa, trzymając pieczę nad Powszechnym Gospodarstwem Rolnym w Nowym Miasteczku. Jednak o tym, co go tam spotkało, wiedzieli nieliczni, Krzyk był jednym z nich.

Głównym zadaniem funkcjonariuszy KOR-u była straż nad tryskaczami nawadniającymi pola. Oficjalnie przed zorganizowanymi szajkami złodziei, tak naprawdę jednak chodziło o to, aby uprawiającym je rolnikom uniemożliwić wykorzystywanie ich do celów prywatnych.

Którejś nocy, podczas samotnej służby, Łazika zaskoczył hałas w odległym kawałku pola. Był pewien, że ma do czynienia z bandą złodziei, a zgodnie z przysługującym mu prawem – i rozkazami, których musiał się ściśle trzymać – nie musiał potwierdzać podejrzeń, mógł od razu otwierać ogień, co też uczynił. Dopiero chwilę potem, już w świetle latarki, dostrzegł, z kim ma do czynienia.

Krzyk doskonale kojarzył ten fragment opowieści Drągała. Słyszał ją tylko raz, ale wryła mu się w pamięć.

Dwie dziewczynki mogły mieć sześć, może siedem lat, chłopiec był od nich dużo młodszy. Leżeli z rozrzuconymi rękoma i nogami, skąpani we własnej krwi, w rączkach cały czas trzymali litrowe butelki.

Łazik nie był w stanie rozpoznać pobrudzonych błotem twarzy, ale nie musiał, skojarzył ubranka i wiedział, że to dzieci miejscowych rolników.

Tego samego dnia o starciu funkcjonariuszy KOR-u z bandą szabrowników trąbiły już wszystkie media, a sam Drągół został odznaczony medalem „Za udział w walkach w obronie władzy demokratycznej” wręczonym przez samego prezydenta kraju. Partia zaplanowała liczne spotkania z młodzieżą i prelekcje dla dorosłych w całym kraju, ale Łazik do nich nie dotrwał. Przeszedł gwałtowne załamanie nerwowe i trafił do szpitala.

Potem, zanim zdążył poprosić o zwolnienie ze służby z przyczyn zdrowotnych, przeniesiono go na rentę zawodową i umożliwiono staranie się o przyjęcie do innej pracy. Od czasu, kiedy znalazł zatrudnienie w wodociągach, zdarzały mu się dziwne wysoki. Większość pracowników brała je za ekstrawagancję, tylko kilka osób wiedziało, co leży u ich podłoża.

Ale jak do tej pory, nigdy nie wyskoczył z czymś tak poważnym, jak wczoraj.

Krzykowi nagle zrobiło się żal kolegi. Publiczna mowa nienawiści to był gruby kaliber i jedyne, na co można było jeszcze liczyć, to że dawne zasługi uratują go przed zakusami Departamentu Zdrowia Publicznego Obywateli i SBP.

Jednak nie tylko Łazik był w niebezpieczeństwie. Krzyk i Kowalski też mogli oberwać rykoszetem. Esbekom wystarczyłby fakt, że często pracowali na tych samych zmianach, już to mogło zostać podciągnięte jako udział w zorganizowanej grupie dysydentów.

Na tę myśl Krzyk poczuł, że robi mu się słabo. Wiedział, że przez jakiś czas dałby radę wytrzymać przesłuchanie, ale i on – jak każdy inny obywatel enklawy – miał swoje granice wytrzymałości. A funkcjonariusze SBP potrafili je przekraczać.

Przecież z drugiej strony są nagrania SYCO! To był jasny dowód, że tylko Drągał odzywał się w niedozwolony sposób, a on i Kowalski jedynie stali obok! – Złapał się tej myśli. Poza tym, była jeszcze nadzieja, że nie aresztują naraz trzech pracowników oczyszczalni. W końcu był to zakład strategiczny, a ich trójka była jedną z najbardziej doświadczonych.

Ale w enklawie nie ma ludzi niezastąpionych – Krzykowi przypomniały się jego własne słowa.

Pić!

Gardło zaczęło palić bólem. Krzyk wiedział, że musi coś zrobić, inaczej zwariuje. Wrócił do kuchni, otworzył lodówkę z mocnym postanowieniem znalezienia czegoś do jedzenia, czym mógłby choć spróbować przykryć pragnienie. Przestawiał kolejne pojemniki, nie mogąc się zdecydować. Wreszcie wybrał placek marchewkowy. Nie przepadał za nim, ale przynajmniej ciasto powinno być trochę nasiąknięte.

Kiedy zamknął lodówkę, ta zaprotestowała piskliwym alarmem.

Pierwsze śniadanie jest najważniejszym posiłkiem dnia. Jedzenie słodczy wyczerpuje znamiona złamania dyscypliny związanej z piramidą zdrowego żywienia.

Krzyk spojrzał na tekst wyświetlany na ekranie lodówki, po czym wyprostował palec środkowy prawej dłoni.

Wrócił na balkon, zajął miejsce z powrotem na krzeselku, wpatrując się w horyzont, który zaczynał właśnie nabierać czerwonego koloru. Wziął do ust pierwszy kęs ciasta. Smakowało obrzydliwie – od razu dało się wy czuć, że marchewka użyta do jego przyrządzenia była pastewna – ale nie miał wyboru. Najważniejsze, że gardło przestało palić bólem. Zamknął oczy, wyobraził sobie, że zajada się szarlotką.

Nagle ciszę przerwał dźwięk przychodzącej wiadomości – esemesa z Centrum Bezpieczeństwa Rządu – CYBORGa, jak nazywano tę wszechwładną instytucję, obok Służby Bezpieczeństwa Państwa najbardziej znienawidzoną przez trzeciaków i czwartaków. Pełen złych

przeczuć, odłożył talerzyk z ciastem, uruchomił wirtualfona, odebrał wiadomość i aż się skrzywił.

W związku z nieobecnością małoletniego członka rodziny o numerze identyfikacyjnym IV201507 w zasięgu ekranu podczas transmisji wieczornego wydania Dziennika Wieczornego, na podstawie artykułu 15 azzz' ustawy z dnia 13 kwietnia 2030 roku o zmianie ustawy z dnia 12 kwietnia 2030 roku oraz ustawy z dnia 13 sierpnia 2030 roku nałożona została kara zmniejszenia dziennego przydziału rodzinnego o sześć procent na okres dwudziestu czterech godzin. Przedmiotowa decyzja wchodzi w życie w momencie jej ogłoszenia w dzienniku nagród i kar obywateli Enklawy Zielona Góra i nie podlega zażaleniu na podstawie artykułu 17 bcdzw ustawy z dnia 25 września 2030 roku o zmianie ustawy z dnia 16 kwietnia 2030 roku.

Kurwa! – zawył w myślach. Ada znowu nie dopilnowała Maliny, gdy jego nie było w domu! A przecież, kiedy wczoraj wieczorem wrócił z pracy i spytał o frekwencję, żona zarzekała się, że nie ma się czym martwić!!!

Ona się nie martwiła, bo miała swoją szafkę z kodem, ale on miał jedno wielkie gówno!

Skrył w głowę w ramionach, chciał się rozpłakać, ale łzy nie napływały do oczu.

Ja pierdolę! – wrzasnął w głowie.

Wciągnął powietrze, wypuścił je z sykiem, próbując się uspokoić. Miał ochotę wparować do sypialni, szarpnąć Adą parę razy, a potem powiedzieć jej kilka cierpkich słów. To by...

Właśnie.

Co by to zmieniło?

Nic.

Ale przynajmniej mógłby wyładować złość!

Wstał, pchnął drzwi ręką i już miał postawić stopę w pokoju, gdy jakiś szelest przyciągnął jego uwagę.

Odwrócił się, wyteżył wzrok.

Zauważył ich od razu, zresztą, wcale nie kryli się ze swoją obecnością. Mimo że słońce jeszcze dobrze nie wzeszło, było ich widać jak na dłoni.

Brunatnych mundurów Służby Bezpieczeństwa Państwa nie sposób było pomylić z uniformami żadnej innej formacji. Długa broń, w jaką byli wyposażeni oraz kaski i kamizelki kuloodporne wskazywały, że są członkami jednostki antyterrorystycznej.

Za tuzinem funkcjonariuszy biegł jakiś mężczyzna w cywilnym ubraniu z kamerą opartą na ramieniu. Krzyk nie musiał wysilać oczu, wiedział doskonale, że to pracownik TWP – Telewizji Państwowej, jedynej działającej od czasu zakończenia wojny.

Wtem dotarło do niego, że antyterroryści zmierzają w kierunku jego bloku.

Przyjechali po mnie! – Krzyk chciał wycofać się z balkonu, zejść z pola widzenia esbekom, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Łazik, żeby ratować własną skórę, nadał dyrektorowi coś na niego! Skurwysyn!!!

Krzyk cały czas stał jak słup soli.

Po Kowalskiego też właśnie szli?

Krzyk patrzył, jak funkcjonariusze zbliżają się z każdą sekundą.

Postanowił, że nie będzie walczył. Opór nie miał sensu, a mógł tylko zaszkodzić córce.

Antyterroryści byli już na wysokości wejścia do jego klatki schodowej.

Nie skręcili, posuwali się dalej prosto.

Minęła sekunda, może dwie, zanim umysł Krzyka odnotował ten fakt i odpowiednio go przetworzył.

Esbecy wchodzili już do sąsiedniej klatki.

Do tej, w której mieszkał Dągal!

Pod Krzykiem ugięły się kolana.

Antyterroryści przyjechali po Łazika, nie po niego!

Oszołomiony zamrugał oczami, zaraz potem poczuł, że wypełniają się łzami szczęścia.

Sięgnął do powiek palcami, delikatnie potarł nimi skórę, zaraz potem przyłożył je do ust.

Krople miały słony posmak, ale ani trochę mu to nie przeszkadzało.